

368 • MARZEC 2021

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI

ISSN 1505-8476



NA MARGINESIE KOPROLALII

W poprzedniej recenzji serialowej Artur Łukasiewicz napisał był o animowanej twórczości Bartosza Walaszka. Wspomniał o językowych wulgaryzmach pojawiających się tamże oraz o tym, że „rzucanie mięsem” średnio go bawi jako odbiorcę (acz z drugiej strony zdarza mu się w recenzjach „odpowiednie dać rzeczy słowo”). Rozumiem go jednak w tej kwestii.

Ktoś z Was może się zdziwi: takie słowa u autora, wspomnianych zresztą przez Bazyla, *Wampiurów*? Na starość PiPiDżej stał się nagle świętoszkiem lub szpwniakiem? Nic z tych rzeczy! To nie ja się zmieniłem. Zmieniły się czasy. Ale o tym nieco później...

Ja mam do wulgaryzmów stosunek ambiwalentny. Nie przeszkadzają mi, jeśli naprawdę odpowiednio wybrzmiały w utworze. W Polsce dostępne były np. dwa tłumaczenia dialogów *Desperado* Roberta Rodrigueza. Jedno soczyste, drugie ocenzone. Sami oceńcie, co lepiej brzmi... W mrozącej krew w żyłach opowieści w knajpie: „Nagle wchodzi Meksykaniec wielki jak kurwa mać”, czy „Wtedy wszedł największy Meksykanin, jakiego w życiu widziałem”; albo herszt bandy, w tejsze knajpie pełnej trupów i krwi, do dwójki amerykańskich turystów: „Nie widzicie, kurwa, że zamknięte?”, czy „Nie widzicie, że zamknięte?”. Większość najlepszych dowcipów, jakie znam, też wymaga w poincie użycia słowa uważanego za wulgarne.

A jednak spory niesmak budzą we mnie rozmówcy używający wulgaryzmów jako znaków interpunkcyjnych, często chyba nawet bezwiednie i machinalnie, oraz zastępujący nieomal wszystkie wyrazy neologizmami opartymi na rdzeniach wziętych z najbardziej wulgarnych czasowników. Czasami trzeba „dać właściwe rzeczy słowo” – ale taki knajacki język rynsztoka nie przystoi nie tylko decydom (i to niezależnie od opcji politycznej).

Dlaczego więc na ostatnim wydaniu *Wampiurs Wars* jest wyraźne ostrzeżenie: „Zawiera wulgaryzmy”? Ponieważ ów komiks powstawał w zupełnie innych czasach. Nieraz już wspominałem, że PRL był krainą wielu niesprawiedliwości i absurdów – ale był też, oficjalnie przynajmniej, szalenie pruderyjny (do czego zresztą wzdychają niektórzy nasi fundamentalści!). Byłem zbyt małym dzieckiem, by zrozumieć, dlaczego w późnych latach sześćdziesiątych Władysław Gomułka ciskał kapciem w telewizor z wydekoltowaną Kaliną Jędrusik; jednak dekadę później, w czasach licealnych, nawet ja zauważyłem dziwne manipulacje dokonywane przez tłumaczy na amerykańskich filmach kinowych. Chodziło o ich swoiste „umoralnianie”. Nawet jeżeli w finale znakomitej *Ucieczki gangstera* Sama Peckinpaha protagoniści skutecznie umykali do Meksyku – u dołu ekranu pojawić się musiał polski napis „Zatrzymano ich tydzień później i deportowano do USA”. To samo dotyczyło padających z ekranu „brzydkich wyrazów”. Tak, wiem: w amerykańskich filmach bluzga się niesamowicie; jednak kastrowano również te dialogi, gdzie ów bluzg był w pełni uzasadniony (a film miał kategorię „od lat 16”, czy nawet „od lat 18!”). Stworzenie niepoprawnej historyjki, której bohaterowie o wygładzie postaci z dziecięcych kreskówek piją jak szewcy i klną jak doróżkarze – było więc swoistą frajdą i przekorą. Dziś, gdy liczne osoby publiczne (politycy, dziennikarze, artyści) bez cienia żenady klną na co dzień (oraz w oficjalnych wypowiedziach używają kolokwializmów typu „kasa”) – taka przekora straciła rację bytu, zaś całą frajdę szlag trafił.

Dawno temu jeden ze wstępniaków poświęciłem *Wojnie polsko-ruskiej* Doroty Masłowskiej. Tę powieść przeczytałem jednym tchem. Ale pisarka udowodniła i później, że jest mistrzynią słowa, obserwacji, syntezy – a pełen wulgaryzmów język Silnego był fabularnie i artystycznie uzasadniony (notabene w tych monologach jest tyleż wulgarności, co surrealizmu). Jakaś ówczesna kandydatka na pisarkę chciała zdyskontować sukces młodej wejherowianki. Zapowiedziała nawet, iż wyda jej powieść, która już w pierwszym rozdziale zawiera więcej bluzgów, niż u Masłowskiej jest ich w całej książce. Jakoś potem nie dotarła do mnie żadna informacja ani o owej twórczyni, ani o jej dziele. Zaś o kolejnych utworach Masłowskiej, o tłumaczeniach ich na rozmaite języki i wystawianiu ich w różnych teatrach – słyszymy ciągle. Liczy się więc nie „ilość”, ale „jakość”... Warto o tym pamiętać!

INFORMATOR

GDAŃSKIEGO KLUBU FANTASTYKI



#368 • MARZEC 2021

UKAZUJE SIĘ OD 1987 ROKU

FANDOM

Urodziny członków

Kwestia Walnego Zebrania GKF

Ola Markowska / Adam Cetnerowski

Trzecia prelekcja o RPG

W realu oraz w wirtualu

Informacja o składkach

INFORMACJE

Janusz Piszczek

Zapowiedzi wydawnicze

Artur Łukasiewicz

Serialowisko

Niusy

PROZA

Krzysztof T. Dąbrowski

Zemsta Mani II

PUBLICYSTYKA

Adam Cetnerowski

Top 10 gier według Cetiego 3. Odcinek 3

Grzegorz Szczepaniak

Okruchy Ogana. Korespondencja 119

Artur Łukasiewicz

Recki z myszką: Carrie

Oko na serialu: The Stand

Andrzej Prószyński

Półka z DVD

POD LUTYM TUREM

Adam Mateja, Grzegorz Szczepaniak

Dwunastu braci sen

GDAŃSKI KLUB FANTASTYKI

4 ADRES:
5 80-395 GDAŃSK
UL. OPOLSKA 2

6 STRONA:
6 WWW.GKF.ORG.PL

7 KONTO BANKOWE:
VOLKSWAGEN BANK
42 2130 0004 2001 0671 8241 0001

11 KRS: 0000098018

14 „INFORMATOR GKF”
ISSN 1505-8476
15 WYDAWNICTWO BEZPŁATNE
NAKŁAD 150

REDAKCJA:
17 JAN PŁATA-PRZECHLEWSKI
GRZEGORZ SZCZEPANIAK
MARCIN SZKLARSKI
MICHAŁ SZKLARSKI
JAROSŁAW S. KOSIOREK

8 STAŁA WSPÓŁPRACA:
25 DOROTA NOWAK
ADAM CETNEROWSKI
JANUSZ PISZCZEK
33 ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI
36 ARTUR ŁUKASIEWICZ

40 E-MAIL:
INFORMATOR@GKF.ORG.PL

OKŁADKA:
ADAM MATEJA

43 Druk:
PRINT GROUP SP. Z O.O.
HTTP://PRINTGROUP.PL

URODZINY

Drodzy kwietniowi Urodzeńcy!

Życzymy Wam samych problemów i nieszczęść –
– ale wyłącznie takich, jakich doświadczyła i doświadcza
pewna młoda para z pewnego starego pałacu...

Redakcja INFO

KWIECIEŃ

2	Andrzej Lisowski	15	Krzysztof Ciszewski
	Jerzy Miksza	18	Artur Karwacki
	Katarzyna Styczeń-Szklarska	20	Piotr Rozenfeld
6	Natalia Czach (Kuffel- -Assarabowska)	21	Wojciech Szłowski
7	Wojciech Dowgiałło	24	Joanna Szwankowska-Rozenfeld
10	Michał Błażejowski	25	Jarosław Białkowski
	Mieczysław Sierociński	28	Robert Kotlarek



...a z okazji zbliżających się Świąt Wielkanocnych – tegoż samego życzymy
Członkiniom i Członkom GKF-u, Czytelniczkom i Czytelnikom „Informatora”
oraz oczywiście całemu zespołowi redakcyjnemu wraz z rodzinami!



KWESTIA WALNEGO ZEBRANIA

Wankiecie zagłosowało 15 osób, a wyniki rozkładają się mniej więcej po połowie, z nieznaczoną przewagą na korzyść zebrania na żywo.

Jednak, po rozważeniu głosów w dyskusji i obserwacji aktualnej sytuacji, Zarząd zdecydował o przeprowadzeniu Walnego Zebrania online.

Powodów tej decyzji jest kilka:

I. Rok temu wprowadzono do ustawy o stowarzyszeniach nowy artykuł, który pozwala organizować walne zebrania (i inne zebrania władz stowarzyszeń) zdalnie – o ile członkowie władz zgadzają się na to „w formie dokumentowej”:

Art. 10

- Ia. Jeżeli członkowie władzy stowarzyszenia wyrazili na to zgodę w formie dokumentowej, głosowanie poza posiedzeniami władz stowarzyszenia może odbywać się z wykorzystaniem środków komunikacji elektronicznej.
- Ib. Możliwość udziału w posiedzeniu władz stowarzyszenia przy wykorzystaniu środków komunikacji elektronicznej jest wskazana w zawiadomieniu o tym zebraniu, zawierającym dokładny opis sposobu uczestnictwa i wykonywania prawa głosu.
- Ic. Wykorzystanie środków komunikacji elektronicznej w głosowaniach na posiedzeniach władz stowarzyszenia odbywa się przy zapewnieniu co najmniej: 1) transmisji obrad posiedzenia w czasie rzeczywistym; 2) dwustronnej komunikacji w czasie rzeczywistym, w ramach której członek władzy stowarzyszenia może wypowiadać się w toku obrad; 3) wykonywania osobiście lub przez pełnomocnika prawa głosu przed lub w toku posiedzenia.
- Id. Wykorzystanie środków komunikacji elektronicznej w głosowaniach na oraz poza posiedzeniami władz stowarzyszenia może podlegać odmiennym uregulowaniom, w tym ograniczeniom w statucie stowarzyszenia. Statut stowarzyszenia może też wprost wyłączyć możliwość stosowania powyższych przepisów w stowarzyszeniu.

Należy zaznaczyć, że ten sam artykuł mówi też o tym, że nie ma obowiązku zwoływania Walnego Zebrania, ponieważ kadencja Zarządu ulega przedłużeniu z mocy ustawy:

Art. 10

- If. Jeżeli kadencja władz stowarzyszenia, o których mowa w ust. 1 pkt 5, upływa w okresie obowiązywania stanu zagrożenia epidemicznego lub stanu epidemii, o których mowa w ustawie z dnia 5 grudnia 2008 r. o zapobieganiu oraz zwalczaniu zakażeń i chorób zakaźnych u ludzi, lub do 30 dni po odwołaniu danego stanu, podlega ona przedłużeniu do czasu wyboru władz stowarzyszenia na nową kadencję, jednak nie dłużej niż do 60 dni od dnia odwołania stanu zagrożenia epidemicznego lub stanu epidemii.

2. Ponieważ ustawa wyraźnie wymaga zgody członków władz „w formie dokumentowej”, a w przypadku walnego „członkami władz” są delegaci – wszyscy delegaci będą musieli podpisać

oświadczenie o zgodzie na udział w walnym zebraniu w formule zdalnej (wzór zostanie przesłany delegatom).

3. Konieczne będzie również stwierdzenie obecności przez protokolanta oraz nagranie zebrania w celu dołączenia nagrania do protokołu (do wysłania do KRS i do zabezpieczenia w archiwum).

Będzie to wszystko wymagało dużych przygotowań z naszej strony (wybranie odpowiednich środków komunikacji elektronicznej, aplikacji do głosowania, testy itp.), więc prosimy Was o trochę cierpliwości.

Postaramy się ogłosić termin zebrania z wyprzedzeniem trochę większym niż statutowe trzy tygodnie, żeby również delegatom dać trochę więcej czasu na przygotowanie.

W imieniu Zarządu GKF
Prezes
Aleksandra Markowska

OLA MARKOWSKA/ADAM CETNEROWSKI TRZECIA PRELEKCJA O RPG

W marcu kontynuowaliśmy podróż przez historię gier fabularnych.

Tym razem, 12 marca od 20:30, zajrzeliśmy do firm powstałych w latach osiemdziesiątych – oczywiście dzięki prelekcji Cetiego o założonych wtedy wydawnictwach i ich najważniejszych produktach. Po niej tradycyjnie zagraliśmy na Zoomie. Tym razem mieliśmy teleturniej na bazie nowego nabytku: *Wiem lepiej*.

Zapraszamy w kwietniu na kolejną część! ■

W REALU ORAZ W WIRTUALU

W tym miesiącu podwoje klubowej biblioteki uchylono 24 marca od 17:00 do 19:00; można było wypożyczać książki i gry. Zaś dwa dni później odbyło się – znów po raz kolejny online – kolegium redakcyjne niniejszego numeru „Informatora” ■

Naszemu klubowemu i redakcyjnemu Kolegom,
Marcinowi i Michałowi Szklarskim,
najgłębsze wyrazy współczucia
w związku ze śmiercią Ojca
składa
Zarząd Gdańskiego Klubu Fantastyki
i redakcja „Informatora”
oraz koleżanki i koledzy z GKF-u

INFORMACJA O SKŁADKACH

Podstawowym źródłem utrzymania się każdej organizacji są składki członkowskie – natomiast podstawowym obowiązkiem członka każdej organizacji jest ich opłacanie.

Pamiętajcie, że do końca marca można opłacić składkę roczną ze zniżką (potem należy policzyć cztery składki kwartalne)!

Dla przypomnienia – szczegóły poniżej:

Wysokość składek członkowskich w 2021 roku pozostaje bez zmian:

- **Grupa wiekowa do 18 lat (Gw1) składka kwartalna 15 zł, roczna 50 zł**
- **Grupa wiekowa od 18 do 25 lat (Gw2) składka kwartalna 25 zł, roczna 90 zł**
- **Grupa wiekowa powyżej 25 lat (Gw3) składka kwartalna 35 zł, roczna 120 zł**
- **Klub Członków Korespondentów (KCzK) – składka kwartalna 15 zł, roczna 60 zł**

Ulga w składkach dla nowych członków (pierwszy raz zapisujących się do GKF): pierwszy rok (a nawet więcej) członkostwa połowa składki.

Przy zapisie:

- a. w pierwszym kwartale ulga dotyczy składki rocznej lub czterech kwartalnych
- b. w drugim kwartale ulga dotyczy trzech składek kwartalnych oraz składki rocznej w kolejnym roku kalendarzowym
- c. w trzecim kwartale ulga dotyczy dwóch składek kwartalnych oraz składki rocznej w kolejnym roku kalendarzowym
- d. w czwartym kwartale ulga dotyczy jednej składki kwartalnej oraz składki rocznej w kolejnym roku kalendarzowym

Konto: Volkswagen Bank 42 2130 0004 2001 0671 8241 0001

Ola Markowska
Prezes GKF

1%

Jeśli nie chcesz jednego procenta swego podatku wrzucić do wspólnego (np. półtoramiliardowego) worka – możesz bez problemu przeznaczyć go na kulturalno-wychowawczą działalność naszego Stowarzyszenia; my tych pieniędzy nie zmarnujemy ani nie przepiszemy ich na krewnych i znajomych!

Gdański Klub Fantastyki
KRS 0000098018





ADAM „CETI” CETNEROWSKI

TOP 10 GIER WEDŁUG CETIEGO 3

ODC. 3 ZOMBIE KIDZ EVOLUTION

Zombie Kids Evolution (Zombie Kidz Ewolucja)

Autor: Annick Lobet

Rok wydania: 2018

Liczba graczy: 2-4

Czas gry: 5-15 minut

Ranking BGG*: 677

Ranking Cetiego: nie dotyczy (nie rankują gier dla dzieci)

Gra dla dzieci (children's) – gra skierowana do najmłodszych graczy. Co nie znaczy, że dorośli nie będą się dobrze przy niej bawili (i ocena BGG raczej uwzględnia preferencje rodziców), ale niewiele z tych tytułów sprawdzi się w towarzystwie bez dzieci.

Zombie Kidz Ewolucja to wersja legacy* gry *Zombie Kidz*. Nie jest to pierwsza gra tego typu, bo w „Informatorze” #349 pisałem o *Pandemic Legacy*. I może to nie zbieg okoliczności, bo te gry mają wiele wspólnego. Obie to gry kooperacyjne*, w których gracze muszą wykonać pewne zadania, jednocześnie

zapobiegając nadchodzącemu nieszczęściu. Fabuła gry jest właściwie zawarta w tytule gry: dzieci walczą z inwazją zombie – a dokładniej muszą zabezpieczyć szkołę przed nadchodzącą hordą, zwalczając przemienionych nauczycieli.

Zasady gry są proste: pojawienie się nowego zombie, ruch gracza, atak w zombie. Gdy dwie postacie spotkają się przy bramie, wspólnymi siłami zakładają łańcuch na bramę. Jeśli zabezpieczą wszystkie cztery bramy – to wygrali. Jeśli zbyt dużo zombie się namnoży – to przegrali. Cała rozgrywka trwa 10-15 minut.

Oczywiście, gdyby na tym polegała cała gra, to nie byłaby na pierwszym miejscu (oryginał plasuje się poniżej miejsca 12 000). Magia tej gry kryje się w części legacy. Każda rozegrana gra pozwala nam nakleić na torze postępu, każdą wygraną to dodatkowa nalepka, a każde osiągnięcie (jak w grze komputerowej) – to możliwość zdobycia trzeciej nalepki za tę samą grę. Gdy zbierzemy odpowiednią liczbę nalepek – otwieramy tajemnicze koperty, a w nich kryją się dodatkowe elementy





gry oraz zasady. Dzięki temu uczymy się zasad krok po kroku (co jest ważne wzięwszy pod uwagę grupę docelową) oraz mamy motywację do kolejnych rozgrywek – bo chcemy robić postępy i odkrywać kolejne tajemnice.

Same osiągnięcia też motywują do zmiany stylu gry (jest jedno na liczbę graczy); trzeba zagrać w dwie osoby, trzy osoby, cztery osoby. Inne dotyczy częstotliwości grania: zagraj dwa dni z rzędu, zagraj tydzień po pierwszej rozgrywce, zagraj miesiąc po pierwszej rozgrywce.

Moja opinia

Kiedy usłyszałem, że ta gra istnieje w polskiej wersji językowej, to natychmiast ją zamówiłem, ponieważ uwielbiam gry legacy. Jak zagrałem pierwszy raz, to poszedłem sprawdzić ranking – i się nie zawiodłem. Wiedziałem, że to prawdziwy hit.

Ważny jest tu czas gry: łatwo wcisnąć grę w wolne chwile z dziećmi, zaś brak głębi nie przeszkadza, ponieważ gra szybko się kończy.

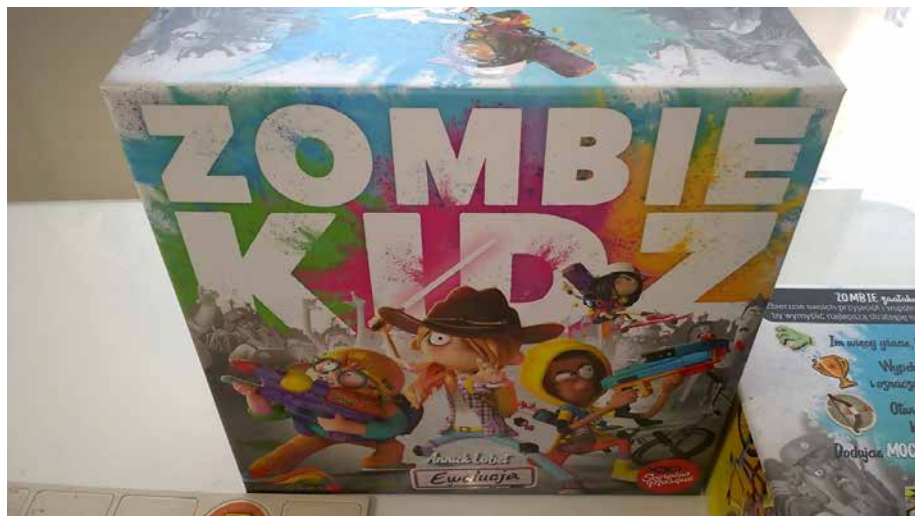
Dzieci też mogą same zagrać, gdyż zasady są bardzo proste.

I chyba tyle; jeśli masz dzieci w wieku późnoprzedszkolnym albo wczesnoszkolnym – nie czekaj aż podrosną! ■

Słowniczek:

BGG BoardGameGeek (boardgamegeek.com) – strona o gra planszowych z jedną z największych, jeśli nie największą, bazą danych gier planszowych; ponadto na tej stronie znajdują się bardzo aktywne fora dyskusyjne, rynek gier i wiele innych przydatnych materiałów. Niezbędny zasób prawdziwego fana gier planszowych. GKF też ma swój profil z listą gier w bibliotece: https://boardgamegeek.com/collection/user/GKF_

Gra kooperacyjna – gra, w której wszyscy gracze współpracują ze sobą, aby pokonać grę. Wygrywają lub przegrywają wszyscy naraz. Wariantem tego typu gry są gry pół-kooperacyjne, w których gracze muszą współpracować ze sobą, ale nie wszyscy



muszą zostać zwycięzcami. Przykłady gier kooperacyjnych to *Gloomhaven*, *T.I.M.E. Stories*, *Kroniki zbrodni (Chronicles of Crime)*, *Ognisty podmuch (Flash Point: Fire Rescue)*

Kampania – zestaw wielu rozgrywek, w których zachowujemy te same postacie (organizacje, itd.); następuje ciągłość fabularna, a decyzje i wyniki wcześniejszych rozgrywek wpływają na kolejne.

Legacy – format podobny do kampanii*, ale podczas gry jej elementy (plansza, karta, itd.) są nieodwracalnie zmieniane poprzez pisanie na nich, naklejanie nalepek, a nawet niszczenie. Pierwszą grą typu legacy było *Risk Legacy*.

źródło: boardgamegeek.com





JANUSZ PISZCZEK

UZUPEŁNIENIE MARCA

Benjamin Ashwood (Benjamin Ashwood) – A.C. Cobble

Data wydania: 26 marca 2021

Wydawca: Fabryka Słów

Anatomia pęknięcia – Michał Protasiuk

Data wydania: 26 marca 2021

Wydawca: Powergraph

Przebudzenie powietrza (Air Awakens) – Elise Kova

Data wydania: 29 marca 2021

Wydawca: Jaguar



ZAPOWIEDZI KWIETNIA

Dwór na Martwym Polu – Joanna Pyplacz

Data wydania: 6 kwietnia 2021

Wydawca: Replika

Opowiadania prawie wszystkie – Edgar Allan Poe

Data wydania: 7 kwietnia 2021

Wydawca: Marginesy

Ostatnia sztuka Tadeusa Volda – Tomasz Marchewka

Data wydania: 7 kwietnia 2021

Wydawca: SQN

Uderzenie (Ballistic) – Marko Kloos

Data wydania: 9 kwietnia 2021

Wydawca: Fabryka Słów

Wszystko pochłonie morze – Magdalena Kubasiewicz

Data wydania: 14 kwietnia 2021

Wydawca: Uroboros

Ogrody Księżycy (Gardens of the Moon) – Steven Erikson

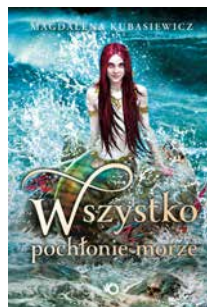
Data wydania: 14 kwietnia 2021 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Bramy Domu Umarłych (Deadhouse Gates) – Steven Erikson

Data wydania: 14 kwietnia 2021 (wznowienie)

Wydawca: MAG



Żmije – Magdalena Lewandowska, Małgorzata Lewandowska

Data wydania: 15 kwietnia 2021

Wydawca: Genius Creations

Paradoks Marionetki. Sprawa Króla Demonów – Anna Karnicka

Data wydania: 15 kwietnia 2021

Wydawca: Genius Creations

Imiona śmierci – Sylwia Waszewska

Data wydania: 20 kwietnia 2021

Wydawca: Initium

Ognie niebios (The Fires of Heaven) – Robert Jordan

Data wydania: 20 kwietnia 2021 (wznowienie)

Wydawca: Zysk

Intruzi (Trespassers) – ClaireMcFall

Data wydania: 20 kwietnia 2021

Wydawca: Zysk

Rój Hellstroma (Hellstrom's Hive) – Frank Herbert

Data wydania: 22 kwietnia 2021

Wydawca: Rebis

Riot Baby (Riot Baby) – Tochi Onyebuchi

Data wydania: 21 kwietnia 2021

Wydawca: Relacja

Dolores Claiborne (Dolores Claiborne) – Stephen King

Data wydania: 21 kwietnia 2021 (wznowienie)

Wydawca: Albatros

Zawisza. Czarne Krzyże – Jacek Komuda

Data wydania: 23 kwietnia 2021

Wydawca: Fabryka Słów

Paradise (Paradise) – Craig Alanson

Data wydania: 22 kwietnia 2021

Wydawca: Drageus

Pieśń bogini Kali (Song of Kali) – Dan Simmons

Data wydania: 28 kwietnia 2021 (wznowienie)

Wydawca: Vesper

Księgi krwi (Books of Blood) – Clive Barker

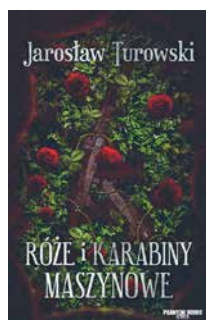
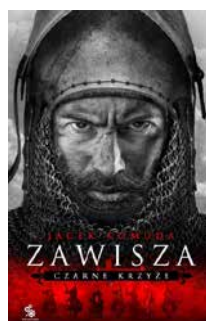
Data wydania: 30 kwietnia 2021 (wznowienie)

Wydawca: MAG

Róże i karabiny maszynowe – Jarosław Turowski

Data wydania: Kwiecień 2021

Wydawca: Phantom Books



Zabawmy się u Adamsów (Let's Go Play at the Adams) – Mendal W. Johnson

Data wydania: Kwiecień 2021

Wydawca: Vesper

Królowa Żaru (Ember Queen) – Laura Sebastian

Data wydania: 20 kwietnia 2021

Wydawca: Zysk

Drzwi z tamtej strony (Дверь с той стороны) – Władimir Michajłow

Data wydania: kwiecień 2021

Wydawca: Stalker Books

Inwazja – Murray Leinster

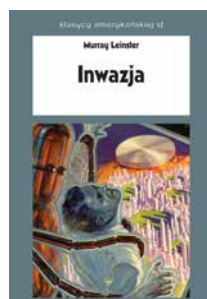
Data wydania: kwiecień 2021

Wydawca: Stalker Books

Brzemie czarnego człowieka (Blackman's Burden) – Mack Reynolds

Data wydania: kwiecień 2021

Wydawca: Stalker Books



ARTUR ŁUKASIEWICZ

PREMIERY MARCA

Nawet nie mam co się rozpisywać, tak jest mało interesująco. Jedynie jakąś jaskółką może być serial ze świata Marvela. Co do reszty – trudno się zorientować. Informacje dotyczą znanych i dostępnych w Polsce serwisów streamingowych. Oglądalności!

- 1 marca
Nowy wspaniały świat / sezon 1 / Netflix
Z innej krainy przybywa do Nowego Londynu buntowniczy przybysz – dokonując zmian w (wydawałoby się) szczęśliwej i doskonałej Utopii tego miasta.
- 4 marca
Pacific Rim: The Black / sezon 1 / Netflix
Anime odwołujące się tematyką do znanej dylogii *Pacific Rim*. Dwoje nastolatków z Australii szuka swych zaginionych rodziców – stając się jednocześnie załogą porzuconego Jaegera.
- 12 marca
Dopasowani / sezon 1 / Netflix
Miesiąc temu pisałem o serialu *Soulmates*. Tu tematyka bardzo podobna: odkrycie w medycynie pozwala na znalezienie i dopasowanie do siebie idealnych partnerów. Czasem jednak grozi to poważnymi konsekwencjami.
- 18 marca
B: The Beginning / Sezon 2: *Sukcesja* / Netflix
Kontynuacja policyjnego serialu o poszukiwaniach tajemniczego mordercy – z dużą dawką grozy i fantastyki.
Liga Sprawiedliwości Zacka Syndera / HBO Go
To podobno jest miniserial, dlatego ująłem go w tej rubryce. Oryginalna, prawie 4-godzinna, wersja filmu – poszerzająca wątki i zmieniająca charakter opowieści, którą znamy z kina.
- 19 marca
The Falcon and The Winter Soldier / Disney +
Drugi z seriali ze świata Marvela. Tym razem śledzimy przygody Falcona i Kapitana Ameryki.
- 25 marca
DOTA: Dragon's Blood / sezon 1 / Netflix
Smoczy Rycerz Davion przemierza świat w celu niszczenia zła. Po drodze spotyka potężną rasę prasmoków oraz księżycową księżniczkę Miranę.
- 26 marca
Ferajna z Baker Street / sezon 1 / Netflix
Grupa uliczników bada w wiktoriańskim Londynie paranormalne zbrodnie; na zlecenie doktora Watsona i jego tajemniczego partnera – Sherlocka Holmesa.
Invisible / sezon 1 / Amazon Prime
Animowana adaptacja jednego z najsłynniejszych superbohaterskich komiksów stworzonych poza Marvelem i DC.



GDAŃSK PONIÓSŁ WIELKĄ STRATĘ

3 marca, w wyniku pandemii, zmarł Jerzy Limon. Długo by pisać o dokonaniach profesora... Był m.in. pracownikiem naukowym Uniwersytetu Gdańskiego, inicjatorem budowy i dyrektorem nowego Gdańskiego Teatru Szekspirowskiego, autorem książek *Münchhausenadia*, *Wieloryb*. *Wypisy źródłowe*, *Koncert Wielkiej Niedźwiedzicy* i opracowań nt. teatru.

jpp



POCZTÓWKI Z BARDZO BLISKA

...to tytuł kolejnej książki Krzysztofa Szkuratowskiego (dawnego współpracownika „Informatora”, okazjonalnie publikującego też w „Czerwonym Karle”). Ukazała się ona w dwóch wersjach – pionowej i poziomej (bibliofilskiej) – nakładem wydawnictwa Gut&Berg; natomiast spotkanie autorskie odbyło się (przy wszystkich ograniczeniach pandemicznych) 5 marca w wejherowskiej Powiatowej Bibliotece Publicznej. Tym razem to pisane od ponad trzech dekad haiku.

jpp



NOMINACJE DO NEBULI 2020

W kategorii powieść: *Piranesi* Susanne Clarke, *The City We Became* N.K. Jemisin, *Mexican Gothic* Silvia Moreno-Garcia, *The Midnight Bargain* C.L. Polk, *Black Sun* Rebecca Roanhorse, *Network Effect* Marthy Wells. Wśród mikropowieści: *Tower of Mud and Straw* Yaroslav Barsukov, *Finna Nino* Cipri, *Ring Shout* P.Djèli Clark, *Ife-Iyoku, the Tale of Imadeyunuagbon* Oghenechovwe Donald Ekpeki, *The Four Profound Weaves* B. Lemberg, *Riot Baby* Tochi Onyebuchi. Nominowane nowele to: *Stepsister* Leah Cypess, *The Pill* Meg Elison, *Burn or the Episodic Life of Sam Wells as a Super A.T.* Greenblatt, *Two Truths and a Lie* Sarah Pinsker, *Where You Linger* Bonnie Jo Stufflebeam, *Shadow Prisons* Caroline M. Yoachim. O tytuł najlepszego opowiadania będą rywalizować: *Badass Moms in the Zombie Apocalypse* Rae Carson, *Advanced Word Problems in Portal Math* Aimee Picchi, *A Guide for Working Breeds* Vina Jie-Min Prasad, *The Eight-Thousanders* Jason Sanford, *My Country Is a Ghost* Eugenia Triantafyllou, *Open House on Haunted Hill* John Wiswell. Do Nagrody Andre Norton zgłoszono: *Raybearer* Jordan Ifueko, *Elatsoe* Darcie Little Badger, *A Wizard's Guide to Defensive Baking* T. Kingfisher, *A Game of Fox & Squirrels* Jenn Reese, *Star Daughter* Shveta Thakrar.



na podstawie katedra.nast.pl grzeszcz

POLAK ZNÓW GRA ROSJANINA. ALE MOŻE TYLKO...

Na początku ubiegłego roku Piotr Adamczyk przebywał w Stanach Zjednoczonych na planie drugiego sezonu, znanego z platformy streamingowej Apple TV, serialu *All for Mankind*. Według serwisu IMDB.com zagra tam postać Sergieja Nikułowa – rosyjskiego szefa programu kosmicznego, który przybywa do USA w celu ustalenia szczegółów mającej się odbyć pokojowej misji Sojuz-Apollo. Ponieważ jednak ten serial przedstawia alternatywną historię świata, w której wyjście zbrojeń

trwa w najlepsze, a Rosjanie jako pierwsi zdobywają Księżyc – można się spodziewać, iż nie jest to jego główny cel. Emisję pierwszego odcinka z udziałem polskiego aktora zaplanowano na 26 marca (czyli w dzień kolegium niniejszego numeru „Informatora”). Ciekawostko warto dodać, że na przełomie ubiegłego i obecnego roku Adamczyk znów poleciał do USA. Z jego aktywności na portalach społecznościowych można wywnioskować, że zagra w Disneyowskim serialu *Hawkeye* – ze świata komiksów Marvela.

Bazyl



POLCH REKORDZISTĄ

Wystawa „Komiks. Legenda” w warszawskim Salonie Domu Aukcyjnego DESA Unicum (19 lutego – 2 marca) poświęcona była twórczości tak wybitnych artystów tego gatunku, jak Janusz Christa, Henryk Jerzy Chmielewski, Grzegorz Rosiński, Bogusław Polch, Zbigniew Kasprzak. Wieńcząca ją aukcja oryginalnych plansz odbyła się w ostatnim dniu. Rekordowa kwota padła przy, nawiązującej do *Funky’ego Kovala*, barwnej okładce „Nowej Fantastyki” z 1991 roku.

jpp

KTO CHĘTNY POLECIEĆ ŚLADEM VERNE’A?

Japoński miliarder Yusaku Maezawa w roku 2023 zamierza odbyć prywatną podróż wokół Księżyca kosmicznym statkiem SpaceX. Poszukuje ośmiu towarzyszy podróży; zostaną oni wyłonieni w konkursie.

wg: bankier.pl



„DROOLING”

KRZYSZTOF T. DĄBROWSKI

Zemsta Mani II

Ktoś zażartował, że w Krakowie ma właśnie miejsce największy konwent postapokaliptyczny. Miasto od tygodnia tonęło w duszącym smogu. Swoją drogą – ciekawe, ilu astmatyków przedwcześnie zeszło z tego świata i czy będzie można liczyć na ewentualne odszkodowanie, gdyby człęk zapadł kiedyś na raka płuc czy inne płucne tałatajstwo.

Ja jednak, jako prawdziwy metal, postanowiłem być twardy. Usiadłem na ławce obok ziejącej ogniem rzeźby smoka, za którą znajdował się ten słynny Wawel, i rozparłem się wygodnie. Zapaściłem sobie w odtwarzaczu ulubioną płytę black metalowych rzeźników z Anal Warriors Of Lilith *Środkowy palec mutanta*. Miazga, rzeź i kult! A zwłaszcza trzeci kawałek, zaczynający się od mrocznej inkantacji. Byłem tak rozdiablony, że w połowie drugiego kawałka przymknąłem oczy, by intensywniej delektować się dźwiękami buzującymi w czeluściach mej trzydziestoletniej czaszki. Rozpoczynająca trzeci kawałek inkantacja była w jakimś nieznanym mi języku, ale wcale mi to nie przeszkadzało i znałem ją już niemal na pamięć. Zacząłem recytować wraz z wokalistą – wyobrażając sobie, że oto ja, Hubert Płaczkowski, stoję na scenie będąc wokalnym ukochanego bandu. Po chwili zabrzmiały ostre jak brzytwa gitary i charkot rzezonego osobnika. I ja też zacharkotałem, a co tam!

I nagle skojarzyło mi się, że przecież nie jestem na scenie...

Otworzyłem oczy i ujrzałem parę przerażonych starsuszków, patrzących na mnie jak na psychopatę. Uśmiechnąłem się przeprasząco, czym jeszcze bardziej ich wystraszyłem. Cóż, ubrany na czarno, lekko łysiejący długowłosey metal o bujnym zaroście à la modny ostatnio drwał, na dodatek w koszulce z żywymi trupami... mógł wyglądać niepokojąco. A jeszcze jak zaczął skrzeczeć...

Ledwie odeszli, a zauważyłem coś, co dla odmiany i mnie przerażyło. Przedemną, trzymając się za ręce, stało kilkanaście bachorów. Trzymały się za ręce i coś recytowały, błyskając przy tym białkami oczu. Nie żebym miał dzieciobobię, ale wyglądały upiornie. Ale było coś, co jeszcze bardziej mnie przerażyło. Na środku kręgu leżała kupka martwych jaszczurek. A obok nich ich podgryzane kończyny. Po plecach przeszedł mi zimny dreszcz. Lecz gdy się dokładniej przyjrzałem – okazało się, że jaszczurki są plastikowe.

He, he, mają dzieciury fantazję – pomyślałem ubawiony, bo bandzie szczyli udało się wystraszyć starego wyjadacza horrorowych klimatów.

Ruszyłem w stronę przystanku autobusowego, ale – widząc tradycyjnie nieskończenie długi korek i mając pewność, że nie jest to halucynacja spowodowana nadmiernym stężeniem tablicy Mendelejewa w powietrzu – uznałem, że na piechotę będzie znacznie szybciej; mimo że do przejścia miałem pół Krakowa. Zresztą, nawet gdyby była szansa, że dojadę szybciej niż dojdę, to i tak straciłem zaufanie – po tym, jak włodarze miasta urządzili w nim maraton, nie nagłaśniając odpowiednio tego faktu. Traf chciał, że umówiony wtedy byłem na randkę z dziewczyną moich marzeń. A że korków o tej porze nie było przesadnie wielkich, postanowiłem podjechać autobusem. Ów niestety znienacka zaczął krążyć bocznymi ulicami i zajeżdżał w takie rejony, że chwilami sam już

traciłem orientację, gdzie jestem. Miałem dojechać w pół godziny. Jechałem dwie... oczywiście mój ideał już się więcej ze mną nie umówił. I wcale jej się nie dziwię.

Szedłem wzdłuż Wisłoki, bo i widok ładny, i jakoś tak przyjemniej niż wzdłuż rzeki zastałych aut. Skutkiem tego byłem świadkiem kilku zabawnych sytuacji. Wyobraźcie sobie, że zatrzymałem się na chwilę, by zmienić muzykę, bo naszło mnie na Soundgarden, a obok stała wpatrzona w rzekę kobieta z paroletnią córką.

— O kotek! — krzyknęła dziewczynka.

Tak. Zaiste było to kotek, z naciskiem na „był”, jako że chodziło o martwego kotka.

Kocie truchło unoszące się do góry brzuchem na powierzchni rzeki, ze sztywnymi kończynami sterczącymi ku niebu niczym działka obrony przeciwlotniczej...

— Tak to kotek, córuś — wyszeptała słabym głosem blednąca kobieta.

— A czemu on pływa na plecach, mamusiu?

— Bo mu plecak ciąży — odpartem, widząc, że bidulka nie wie, co powiedzieć (a gdzieś w głębi duszy licząc na to, że uda mi się ją poderwać). Niestety, podziałało to wręcz odwrotnie, bo spojrzała na mnie jak na szaleńca i czym prędzej obie się oddaliły. A co ja poradzę, że mam specyficzne poczucie humoru?

Ale kota było mi naprawdę żal. Równie dobrze to mógłby być mój kochany Wikary. To nic, że bywał złośliwy i często się kłóciliśmy... ach, no tak, pewnie teraz uznacie, że mam kuku na muniu, bo gadam z własnym kotem...

On rozumie mnie, a ja jego. Ale tylko jego, żadnego innego. I nikt inny nie kuma kota mego, więc... no może to być kuku na muniu, ale mi tam takie kuku odpowiada. Zresztą może z moim muniem wszystko jest okej, bo moja sąsiadka Euzebia – siedemdziesięciosześcioletnia metalowa (najstarsza w mieście!) – twierdzi, że drzemią we mnie magiczne moce.

Może i drzemią, ja tam nie wiem. Najważniejsze, że nie chrapią.

Nie uszedłem nawet kilometra, jak natknąłem się na dwóch meneli.

— Nu i co, masz flaszku? — chwiejąc się na nogach jeden dopytywał drugiego, który dopiero co przybył z monopolowego.

— Na małą tylko nazbierałem. Ale wypiło się.

— A jakże to?!

Widząc, że kompan do picia nielicho się wkurzył, drugi zaczął się nerwowo tłumaczyć.

— Nu tak mie wysuszyło, a ciebie nigdzie ni widu ni słyhu.

— Łałem po krzaczorach! Było czekać! — wkurzył się spragniony.

— Ale ja żem wypił, no.

— Chuchnij! — rozkazał pierwszy.

Aż mnie zemdlilo na myśl o tym, jaki to chuch musiał dolecieć z takiej gardzieli.

— Przecież ty cuchniesz trzeźwością! — zirytował się pierwszy. — Poka, co masz w portkach, ino na biegusiu.

Drugi wytrzeszczył się na niego w zdumionym spojrzeniu, ale posłusznie pokazał. Pierwszy wsadził tam rękę, a mi aż się cofać zaczęło. Menelik wydobył z gaci fumfla ćwiartkę wódki. W chwilę potem zaczęli się wyzywać i okładać pięściami, a ja się pospiesznie oddaliłem.

W słuchawkach leciało akurat *Black hole sun*, deliryczna ballada Soundgarden, do której swego czasu nakręcono jeden z najbardziej zrytych klipów, jakie me gały widziały. Przypomniało mi się, jak w jednej ze scen z wózka matki zaczęła się wydobywać ektoplazma lub coś w ten deseń. I kto wie, być może odebrałem jakoś podświadomie to, co się w tym samym czasie zaczęło się dziać przy Wawelu, a nie miałem przecież o tym pojęcia. A działo się tak, że młoda matka z wózkiem nagle wpadła w coś jakby trans i błyskając białkami gałek ocznych nagle skręciła ku niewielkiej grocie pod zamkiem. Wjechała tam, a już po chwili wybiegła spanikowana z krzykiem na ustach i dzieckiem na rękach. Za nią, sam z siebie wyjechał wózek, z którego zaczęła się wydobywać gluciasta ektoplazma. Po chwili wzniosła się i, niczym obrzydliwa bańka mydlana, poszybowała w górę.

Nie będąc tego świadomym, maszerowałem przed siebie, a po drodze postanowiłem wstąpić do wieży ciśnień w jednym z osiedlowych pubów. Wychodząc z kibelka, ujrzałem nagrzanego jak drzwi od gajówki jegomościa, który śpiewał kawałek *Mój jest ten kawałek podłogi* Mr. Zooba. Był akurat w trakcie bełkotliwego refrenu, gdy bujnęło go w bok, rozłożył ręce i pacnął na ten „swój” kawałek brudnej podłogi. Wyszedłem.

W tym samym czasie ektoplazmatyczna bańka wylądowała na dachu jednej z kamienic i pękła, oblewając wszystko wokół żółtawą cuchnącą mazią. Pozostał po niej tylko przypominający człowieka przygarbiony kształt. Istota otworzyła jarzące się żółcią oczy.

I pomyśleć, że moja w tym wina, bo drzemiąca we mnie moc wzmocniła moc czakramu pod Wawelem, co przy specyficznym ustawieniu gwiazd pozwoliło Miskamakusowi na powrót z zaświatów. Skubaniec sprytnie to wykorzystał i zmusił wycieczkę szkolną do kupienia dwudziestu plastikowych jaszczurek i odprawienia rytuału materializacji. Mnie też wykorzystał – sprawiając, że w odpowiednim momencie zacząłem słuchać utworu, który rozpoczyna inwokacja przywołująca. A że ja ponoć z tych magicznych, to powtarzając ją słowo w słowo... ale oczywiście nie byłem tego świadom i, wesoło pogwizdując, maszerowałem w stronę domu.

Minał mnie dość szybko idący Azjata z komórką przy uchu.

— Yes Sir — powiedział, na co z ławki podniósł się konkretnie zawiany jegomość i zagaił zagubionego turystę:

— Taaa jes ser, jes kapusta, ino wódki brak!

Azjata przystanął i popatrzył badawczo na mężczyznę.

— A może tak oprowadzę kolegę? Wiem, gdzie mają dobry browiec i gdzie soczysta cipeczka!

— Sosista sipečka? — zdziwił się przybysz. — Si to jakaś wasia potjawa?

Pijacek skwapliwie pokiwał głową.

— A tak przy okazji, dyszki byś koledze nie pożyczyl?

Nie miałem zamiaru obserwować, jak podpity cwaniaczek naciąga bidulka; sprężyłem się i przyspieszyłem.

W mieszkaniu napotkałem widok zaiste niespotykany, czego zwiastunem był roztrzęsiony Wikary.

— Wrócili — miaukał przerażony, wczepiając mi się pazurkami w goleń i wpatrując z nadzieją.

— Kto?

— W pokoju, sam zobacz.

Poszedłem do dużego, skąd dobiegały dziwne dźwięki – i mnie zamurowało, choć nie miałem zaprawy. W ścianach naprzeciw siebie były dwie okrągłe dziury; za jedną znajdowała się

przestrzeń kosmiczna, a za drugą łąki bujne. Najdziwniejsze jednak było co innego: na środku zacięty pojedynek toczyli Vader z *Gwiezdnych wojen* i Wiedźmin. Co mnie zdumiało jeszcze bardziej, to fakt, że miecz świetlny nie stopił tego Wieśkowego. Ale zaraz sobie przypomniałem, że Siwy ma miecz z jakiejś specjalnej stali – klingońskiej, czy jakoś tak.

O matulu, znowu haluny! Wiedziałem o tym, że Vader jest materializacją mego lęku z dzieciństwa po przedwczesnym obejrzeniu *Gwiezdnych wojen*. Ale co tu u licha Wiedźmin robi?

Zerknąłem na przerażonego Wikarego i wszystko stało się jasne.

Zza drzwi Euzebii dochodziły ostre jak brzytwa gitarowe rify. Za chwilę przycichły i rozległo się niespieszne dreptanie. Zgrzytnęły drzwi i ujrzałem Euzebię w czarnym szlafroku w trupie czaszki. Staruszka wyszczerzyła się w powitalnym uśmiechu.

— Sąsiadko kochana, problem jest...

— Wiem, wiem, wyczułam łobuza. Ma specyficzne wibracje ten cały Misquamacus.

— I co teraz?

— Idziemy do ciebie. Poczekaj chwilę, tylko się stosownie odzieję i akcesoria wezmę.

Poczekalem – a raczej „poczekaliśmy”, bo w mą łydkę cały czas wczepiony był Wikary, który od chwili ujrzenia Wieśka stał się jakoś tak dziwnie milczący.

Po chwili objawiła się Euzebia w rynsztunku bojowym: czarna skóra, głany, piessczocho („Jak umierać, to we własnej skórze” – powiedziała kiedyś) i do tego torba wypchana zielskiem magicznym i różnymi różnościami (również magicznymi).

— Idziemy! — zakomenderowała i poprawiła oblużowaną sztuczną szczękę.

Poszliśmy.

Na klatce schodowej natknęliśmy się na Edytkę z Adasiem. Edytka to moja świeżo upieczona kobietka – wytipsowana, uszminkowana, biuściasta blondyneczka w obcisłej różowej sukience, ale wbrew pozorom świetnie się dogadywaliśmy (w łóżku, bo poza nim to się wspólne tematy kończyły). Zaś Adaś to jej dwuipółletni nieślubny, zmajstrowany przez jakieś przelotne dresiwo na wiejskiej potańcówce (nie chciało mi się wnikać w detale). W każdym razie, po porzuceniu przez Elwirę, gorący romans z sąsiadką z czwartego był mi balsamem na złamane serducho. I kto wie, może z czasem coś więcej z tego wykiełkuje?

Adaś jak zwykle dłubał w nosie, co powodowało u niego lekkie wytrzeszcz (może uciskał paluchem mózg, który z kolei powodował nacisk na gałki oczne?), za to Edytka otworzyła czerwone usteczka i wiedziałem, że zaraz lunie nieprzerwanym kilkuminutowym słowotokiem.

— Ćśś! — gwałtownie uciszyła ją Euzebia.

Edytka wytrzeszczyła się na nią zdumiona, ale usłuchała.

— Miskamakus wrócił? — wyszeptła.

— Kto?

— Nieważne, chodź z nami do mnie.

Weszliśmy do środka, ale po walczących nie było już ani śladu.

Wikary rozluźnił się, odczepił od piekającej łydki i czknął solidnie. Euzebia w skupieniu obchodziła mieszkanie, a coraz bardziej zdumiona Edytka milczała.

— To nie był on — powiedziała staruszka. — Eksperymentował z otwieraniem portali do innych wymiarów i dlatego ci dwaj się tu spotkali. Byli prawdziwi.

— Prawdziwi? — wymiauczał słabnym głosem Wikary i zemdłał.

— Chcesz powiedzieć, że Vader naprawdę istnieje? — niedowierzałem.

— Podobnie jak Wiedźmin czy Misquamacus. To głębsza sprawa. Po trochu zahacza o magię, a po trochu o mistycyzm i fizykę kwantową. Reperkusją kreacji fikcji w naszej rzeczywistości jest jej urzeczywistnienie we właśnie powstającym kolejnym wymiarze, gdzie umysł tworzącego jest czymś w rodzaju Boga-kreatora. Tyle tylko, że żaden z twórców nie zdaje sobie z tego sprawy, że gdzieś hen w otchłaniach to, co produkuje jego wyobraźnia, właśnie się urzeczywistnia.

— O żesz... — teraz to i mi się słabo zaczęło robić.

Może i ja jestem przez kogoś wymyślony? — po plecach przebiegł mi diablo lodowaty dreszcz.

— Nic nie rozumiem — markotnie stwierdziła Edytka. — Włączmy telewizor, może teleturniej się zaczyna?

Włączyliśmy, usadziliśmy ją na fotelu i tak zostawiliśmy, bo odpłynęła w krainę ze szklanego ekranu i tym razem mi to pasowało — nie chciałem, by gdziekolwiek wychodziła, gdy Miskamakus szlaja się po mieście.

Komunikacja miejska już nie funkcjonowała, a na ulicach panowały takie korki, że nie było sensu myśleć o jakiegokolwiek taryfie — nawet jak na Kraków nie było to normalne. Wszyscy czuli, że w powietrzu coś wisi i wiedzieli, że to coś gorszego niż smog.

Euzebia jak na swój wiek i tak całkiem żwawo się przemieszczała. Momentami było mi nawet trochę łyso, bo się przy niej lekko zasapałem (muszę w końcu zrzucić to sadło!).

Im bliżej centrum, tym więcej pustych samochodów i zbitych w zdezorientowane grupki, wystraszonych ludzi. I te szeptu: „terrorysty”, „atak chemiczny”, „biologiczny”, „kosmici wylądowali na Rynku” — im byliśmy dalej, tym domysły stawały się bardziej kuriozalne.

W pewnym momencie zrobiło się niemal pusto; było to dokładnie na Placu Inwalidów. Tylko opuszczone samochody, tramwaje i my. I wiszący w powietrzu, elektryzujący niepokój. Nawet sierściuch cały się zjeżył i zaczął nerwowo prychać. Tylko Euzebia zdawała się wiedzieć, co dalej: czym prędzej zdjęła z ramienia torbę i wygrzebała trochę ziół (rozpoznałem prowansalskie, oregano i kminek).

— Encepenca, w której ręce — mamrotała śpiewnie. — I morele baks! — po czym posypała nas specyficzną mieszanką.

Nic się nie stało prócz tego, że Wikary zaczął przeraźliwie kichać.

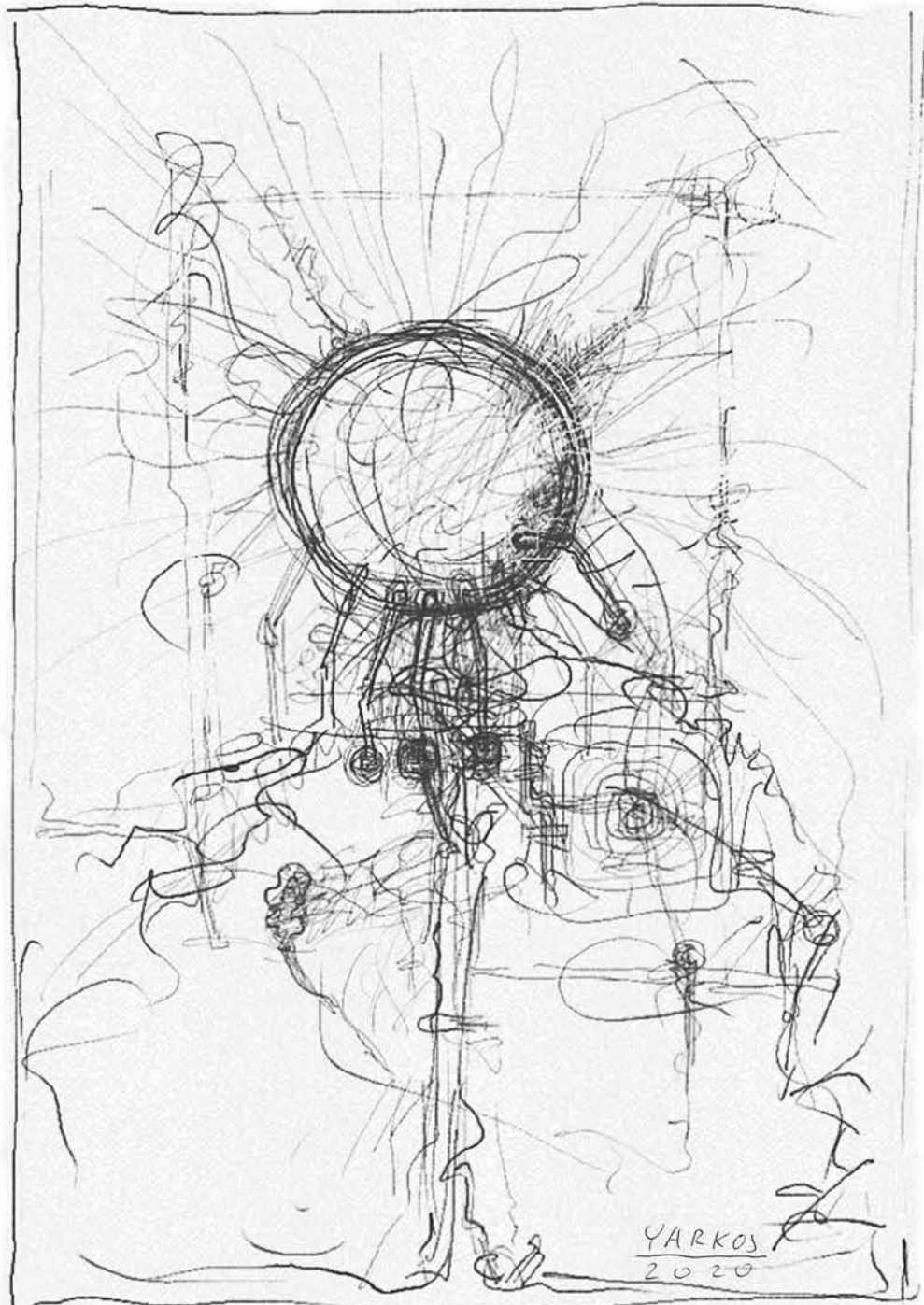
— Ej, pogięto cię! — wymiauczał gniewnie. — Jestem uczulony na kminek!

Na tę przyganę Euzebia wyszczerzyła się i rzuciła mu ciasteczko. Kocurro złapał je w locie i już po chwili ze smakiem chrupał.

Hm, może to jest ów sekretny klucz do pokojowego egzystowania z własnym kotem? — pomyślałem z nadzieją. — Tylko, że zbankrutuję na ciastka...

— Jesteśmy zabezpieczeni. Możemy iść — oznajmiła i, wygrażając pięścią niewidzialnemu przeciwnikowi, zaskrzeczała niczym Halford z Priestów: — Let's go! Rock'n'roll!

Cóż, widać było, że potyczki z halunami sprawiały jej zajębiłą radochę.



YARKOS
2020

rys. Jarosław S. Kosiorek (Yarkos)

Ruszyliśmy Karmelicką. Już po kilku minutach natknęliśmy się na pierwszego człowieka. Był nim mocno przypakowany dres, któremu to wszystko zdawało się wcale niestraszone. Wyszczrzył się na nasz widok i zastąpił drogę.

— No kuwaa, opróżnić kieszenie, ale już! — zagaił po przyjacielsku.

Euzebia wyciągnęła z torby garść oregano i sypnęła mu prosto w oczy. Zawył zdezorientowany i złapał się za twarz.

— Łał! — wymamrotałem. — Nie wiedziałem, że magia zadziała na takie dresiwo.

— Tym razem to nie magia, tylko praktyczne myślenie — odparła Euzebia.

W końcu natrafiliśmy na pierwsze namacalne efekty działania Miskamakusa. Zaczęliśmy dostrzegać ludzi, którzy... no właśnie, nie wiem, jak to określić. Pierwszy był mężczyzna na szczycie dachu. Stał na krawędzi i krzyczał o pomoc.

— Co się stało? — ryknąłem do nieszczęśnika.

— Nie mogę się cofnąć! Coś mnie tu przyprowadziło i nie mogę się cofnąć, a mam lęk wysokości!

— Pomożemy w drodze powrotnej! — obiecałem. — A może nie będzie już takiej potrzeby, bo to panu odpuści!

— Ale co to jest?

— Coś jak koszmar senny. Przejdzie panu! — miałem nadzieję, że faktycznie, gdy unieszkodliwimy Miskamakusa, to i jemu to pomoże.

Potem natrafiliśmy na grupkę przerażonych, ściśniętych w kupę ludzi. Okazało się, że wszyscy oni mają lęk przed przebywaniem w tłumie.

— Już wiem, co ten gamoń robi — odparła Euzebia, gdyśmy się oddalali od nieszczęśników.

— A co takiego?

Zamiast odpowiedzi usłyszałem krzyk z piwnicy.

Aha, lęk przed ciemnością albo zamkniętymi przestrzeniami — domyśliłem się.

— On się karmi lękami i...

Wypowiedź Euzebii przerwało pojawienie się wrzeszczącego szaleńca, który pędził na nas na motorze. Uskoczyliśmy dosłownie w ostatniej chwili. Koleś wyglądał na wystraszonego — lęk przed prędkością jak nic.

— ...i ściąga ze swych ofiar energię wywołaną przerażeniem, przez to sam rośnie w siłę.

— O jaaa! — miauknął uradowany Wikary, widząc popiskującą kobietę otoczoną stadem również popiskujących myszy.

— To iluzja — krzyknąłem.

— Ale bardzo prawdziwie pachnie — mruknął i zgarnął do pyszczka pierwszą z myszy.

Rozległo się chrupanie.

— I tak się tym nie najesz.

— Filmy też nie są prawdziwe, a lubisz je oglądać — odparł, zabierając się za drugą mychę.

Gdy Wikary się obżerał, Euzebia zaczęła czarować, mamrocząc dziwne inkantacje, sypiąc zielskiem i wymachując amuletem. Skutkiem tego już po chwili ujrzeliśmy, gdyż z ciał straszonych ludzi zaczęły wyłaniać się niematerialne czerwone nici negatywnej energii. Ruszyliśmy ich tropem — wiedząc, że doprowadzą nas do sprawcy całego zamieszania.

Wikary zauważając, że – mimo obżarstwa – myszy nie ubywa, skombinował skądś wielką turystyczną torbę i posapując, taszczył ją za nami; ze środka dochodziła piszcząca kakofonia i strasznie się tam kotłowało. Obdarzyłem go zdumionym spojrzeniem.

— Prowiant — miauknął wyjaśniająco, szczerząc się przy tym jak kretyn.

W pewnym momencie Euzebia nas zatrzymała i nakazała ciszę.

— Ukrywa się za Bagatelą — wyszeptła.

Bagatela to teatr w samym sercu miasta. Wokół budynku było mnóstwo unieruchomionych fobiami ludzi. Negatywna energia strachu aż buzowała w powietrzu.

— A nas czemu nie bierze?

— Rzuciłam zaklęcia ochronne. A teraz zaserwujemy mu terapię szokową.

— Znaczy?

— Odwrócę jego zaklęcie i zamiast fobii zaczną przeżywać największe przyjemności. A kiedy ci powiem, to wbiegniesz za róg i utniesz mu głowę. O, tym — powiedziała, wyciągając tasak pokryty jakimiś dziwnymi symbolami.

Po chwili staruszka czarowała, Wikary ciężko dyszał, ocierając pyszczek łapką, a ja usiłowałem rozszyfrować dziwne znaki (z mizernym skutkiem).

Nagle, zupełnie niespodziewanie nastąpił błękitny rozbłysk – i ci wszyscy przerażeni ludzie znaleźli się w diametralnie innej sytuacji. Jakiś staruszek wymachiwał sztangą, ciesząc się jak dziecko. Gruby biznesman dokazywał z piersiastymi blondynkami. Szczurkowaty dzieciak, siedząc na środku ulicy, grał z zapałem w jakąś grę na konsoli. Pulchna brunetka objadała się bezami. Wszyscy zaś cieszyli się niemożliwie – i, miast czerwonej energii, zaczęła płynąć jasnozłocista.

— Teraz! — syknęła Euzebia.

Pobiegłem i, gdy znalazłem się za rogiem, ujrzałem wijącego się i trzymającego za głowę indiańskiego szamana. Mrużył nienawistnie żółtawe oczy, a intensywność jego świdrującego spojrzenia niemal ścinała krew w żyłach. Ściągnięte w zwierzęcym grymasie wargi odsłaniały pokryte żółtawym nalotem zęby. Wyglądał jak gotowa do ataku bestia.

— Geronimoooo! — ryknąłem i doskoczyłem do przeciwnika, który szamotał się z kąsającą go pozytywną energią.

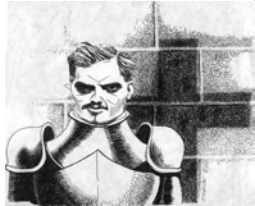
Próbował się uchylać, lecz nie na wiele mu się to zdało. Przelocowałem, wzięłem zamach i ciąłem. I uciąłem, a raczej odrąbałem. Miskamakus w mgnieniu oka przemienił się w galaretowatą skwierzącą breję.

Zza budynku tymczasem wynurzył się wkurzony Wikary.

— Te myszy się przemieniły w zajebiste kotki! I każda chciała się ze mną seksować! A potem znikły! Przez ciebie! Musiałeś się tak spieszyć?! — miauczał oskarżycielskim tonem, celując we mnie pazurem.

I już wiedziałem, że mu podpadłem. Żadne ciasteczka tu nie pomogą.

Będę miał przechłapanie! A raczej przedrapane... ■



KORRESPONDENCJA 119

JĘZYK APOKALIPSY

Nigdy nie byłem i raczej już nie zostanę fanem twórczości Stanisława Lema. Owszem, w dzieciństwie zaczytywałem się *Bajkami robotów* i opowieściami o pilocie Pirxie, a także chłonałem niektóre filmowe adaptacje jego utworów, ale od bardziej poważnych powieści odbijałem się jak piłeczka kauczukowa. Dopiero na studiach przeczytałem *Solaris* i lektura ta pozwoliła mi zrozumieć, dlaczego Lem wielkim pisarzem był – nie zmieniło to jednak niczego w moim stosunku do jego twórczości. Bliższa niż sf czy horror zawsze była mi fantastyka baśniowa oraz fantasy – i stan ten trwa do dzisiaj. Jednak w roku stulecia urodzin genialnego lwowianina (nb. w jego metryce urodzenia widnieje data 12 IX, choć ponoć na świat przyszedł dzień później; nie będę miał jednak nic przeciw temu, jeśli to Rafałowi Ziembkiewiczowi wypadnie bycie urodzonym tego samego dnia i miesiąca co Lem – mnie wystarczy urodziny w rocznicę wiktorii wiedeńskiej), ponownie się przełamałem i sięgnąłem po kolejną powieść z jego dorobku. Przypadek sprawił, że był to *Kongres futurologiczny* ukończony w roku 1970 (kiedy autor miał tyle lat, co ja teraz), a wydany 50 lat temu.

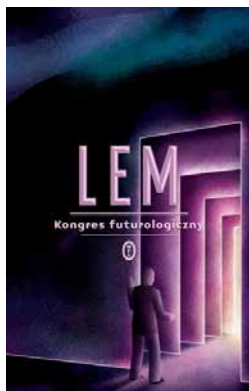
Czy można napisać coś nowego o tekście, który funkcjonuje na rynku wydawniczym od pół wieku i obrósł trudną do zliczenia liczbą recenzji? Ponieważ jednak nigdy nie aspirowałem do bycia lemoznawcą (a tym bardziej lemmologiem) i nie zgłębiałem recepcji jego dzieł – ośmielię się zaproponować swoje własne odczytanie tej historii. Najwyżej się ośmieszę, jeśli zaś popelnię plagiat, to nieświadomie.

Zanim zacznę, jeszcze jedna dziaderska dygresja. Po raz pierwszy z *Kongresem...* zetknąłem się w połowie lat 80. ubiegłego wieku, kiedy w radiowej Trójce czytano ją tuż przed „Powtórką z rozrywki” w ramach audycji „Codziennie powieść w wydaniu dźwiękowym”. Zresztą nie była to jedyna powieść sf, o której po raz pierwszy usłyszałem na antenie tego radia. Pamiętam jeszcze *Stwory światła i ciemności* Rogera Zelazny’ego i *Ostatni dzień stworzenia* Wolfganga Jaeschkego (wszystkie one wyszły potem w KAW-owskiej serii SF, więc być może czytane były także pozostałe). Dużo fantastyki, zwłaszcza spod znaku grozy, prezentowano także w „Teatryku Zielone Oko”, ale w nim były to pełnoprawne słuchowiska.

Kongres futurologiczny to groteska zamknięta w klamry halucynacji, będąca opowieścią o rozpędzającej się apokalipsie. Jej źródłem jest z jednej strony rosnące przeludnienie, a z drugiej – postępujące zmiany klimatyczne (zgodnie z cyklem interglacjalnym chodzi o globalne zlodowacenie). Co ciekawe, Lemowi, który nie miał najlepszego zdania o ludzkiej moralności, nie przyszło do głowy, że z przeludnieniem będzie się walczyć za pomocą kontroli urodzeń (chiński program jednego dziecka wystartował kilka lat później), aborcji i eutanazji. Nie wpadł również na to, że przeciwko zmianom klimatycznym wystąpi tak szczywany plan jak Zielony Ład, będący w rzeczywistości pułapką zastawioną przez bogate i rozwinięte kraje na państwa się rozwijające, takie jak Polska, które nie zdążyły unowocześnić swojej energetyki i będą zmuszone do płacenia niewyobrażalnego haraczu

za to, że ośmieliły się gospodarczo gonić liderów. Natomiast wśród wydarzeń dla autora niewyobrażalnych, które jednakowoż opisał, był plan zamachu na papieża i przygotowana specjalnie w tym celu papieżówka. Tymczasem ledwie dziesięć lat po wydaniu tej powieści na Placu Świętego Piotra do Jana Pawła II strzelał Ali Agca.

Główną ideą *Kongresu...* jest wizja farmakokracji niezbędnej do tego, by zamaskować przed dziewięćdziesięcioma pięcioma miliardami ludzi żyjących na Ziemi konanie planety, a już na pewno ludzkości. Szprycowanie całej populacji halucynogenami jest ostatnim aktem miłosierdzia wobec skazanej na zagładę społeczności – skoro ma wyginąć, to przynajmniej w poczuciu życia w świecie niemal idealnym. Ijon Tichy, defryzjak z XX wieku odmrożony w roku 2039, podejrzewa, że rajska rzeczywistość, w której go niejako wskrzeszono, nie może być prawdziwa i szuka potwierdzenia swoich przypuszczeń. Niestety, utrudnia mu to bariera komunikacyjna, bowiem język, którym posługują się ludzie w czwartym dziesięcioleciu XXI wieku, przeszedł takie przeobrażenia, że zrozumienie tej nowomowy jest dla protagonisty zadaniem bardziej niż karkołomnym. Co rusz napotyka na słowa niezrozumiałe i formy tak dalece zniekształcone, że bez pastylek ze słownikami, niczego nie może pojąć (swoją drogą fajne takie książki w tabletkach, tyknałby człowiek kilka na wieczór i nadrobił lekturowe zaległości w miesiąc). Krytyka widziała w tym procederze dowód sławnej językowej inwencji Lema, ale nie jest on tylko nią. Lem oczywiście się popisuje swoją słowotwórczą wynalazczością, podpartą solidnym przedwojennym wykształceniem



oraz studiami medycznymi (łaciną zalatuje aż miło) – ale ma ona daleko poważniejsze konsekwencje. Wyjaśnia to odmrożony wraz z Tichym uczestnik feralnego VIII Kongresu Futurologicznego w Costaricanie prof. Trottelreiner: futurologia w XXI wieku to nauka lingwistyczna, badająca *przyszłość podług transformacyjnych możliwości języka*. Nie przewiduje więc przyszłości jako takiej, ale jej leksykalny obraz – zgodnie zresztą z podstawowym znaczeniem swego źródłostwa: *futurus logos* to przecież dosłownie przyszło-słow(n) ość. Występuje zatem w takiej samej roli jak środki chemiczne: stanowi nieprzenikloną zasłonę dla wszystkich krytycznych badaczy rzeczywistości.

Słynnemu gwiazdnemu podróżnikowi dobrane się do natury czasów, w których odżył, uniemożliwia także brak odpowiednich prac historycznych, które obiektywnie przedstawiłyby początek epoki chemokracji. Historia jako nauka w ogóle w tym świecie zdaje się nie istnieć, zamieniając się w jakieś *będzieje*, czyli opis tego, co się stanie. Dopiero spotkanie z Trottelreinerem, a zwłaszcza zażycie jego demaskatorskich dekoktów, odsłaniają przed Tichym koszmar świata, w którym przyszło mu egzystować.

Nie mogę się powstrzymać przed konstatacją, że to, co spotyka nas obecnie, wygląda, jakby ktoś bardzo gruntownie przeczytał *Kongres...* i postanowił zrealizować go w praktyce. Zakrojone na szeroką skalę operacje na języku, mają za zadanie taką zmianę psotrzenia rzeczywistości, żeby zerwać jakiegolwiek więzy z przeszłością. Skandaliczna jest tu zwłaszcza, moim zdaniem, postawa Rady Języka Polskiego, która została powołana

w celu normalizacji ortografii i interpunkcji oraz rozstrzygnięcia spraw związanych z używaniem języka (np. czy wybrane przez rodziców imię będzie odpowiednie dla dziecka), a zabiera się za kastrowanie zasobu leksykalnego polszczyzny. Od tego już naprawdę nieduży krok do powołania ministerstwa miłości oraz policji myśli. Jeśli temu szaleństwu nie postawimy szybko tamy, to obudzimy się na Paradyżu i tak jak tam będziemy musieli używać koalangu, żeby przekazywać nieocenzone wiadomości (na wszelki wypadek w „Informatorze” rozpoczęliśmy już dla Was rymotwórczy program treningowy w postaci cyklu „Pod Lutym Turem”).

Gdybym był koronasceptykiem i pandemionegacjonistą, to bym tu z pełnym przekonaniem napisał, że program powszechnych szczepień antycovidowych jest świtem ery farmakokracji. Przecież, podobnie jak w wypadku zwykłej grypy, na jednej serii szczepionek się zapewne nie skończy, a mutujący wirus będzie wymagał przyjmowania przez całą populację co jakiś czas nowej generacji antygenów. Co zaś w tych preparatach tak naprawdę się znajduje, to już różni tropiciele spisków wiedzą najlepiej – ich pytajcie. Jeśli się ktoś przymierza aktualnie do nowej adaptacji tej powieści – oddaję za darmo pomysł na

wytlumaczenie, w jaki sposób i kiedy powołano do istnienia chemiokrację.

Na zakończenie jeszcze kilka odwołań do lektury. Wynałazczość Lema ma nie tylko charakter językowy (*lewak* – łowca syntetycznych lwów; *komputer* – komputer serwujący kompot), ale również praktyczny – ruchome reklamy w papierowych gazetach (trafiają one potem do cyklu Rowling o Harrym Potterze w postaci ruszających się zdjęć). Znajdują się w powieści także przewidywania nie całkiem trafione, jak powszechne wybielanie się Murzynów za sprawą albinoliny. Współcześnie należy się spodziewać raczej zwiększonego zapotrzebowania na negroidynę oraz – dla uboższych – szuwaks, bo przyszłość maluje się raczej w czarnych barwach. Muszę również dodać, że zaskoczyła mnie jedna z finałowych scen, w której Tichy chwyta zarządcę ginącego świata (o znaczącym nazwisku Symington, wskazującym na jego związek z symulakrą, którą jest ta rzeczywistość) i rzuca się z nim w przepaść ze szczytu wieżowca. Tak jawnie ewangelicznego wątku się po tym autorze nie spodziewałem!

Kongres futurologiczny pół wieku później to tekst nadal aktualny i atrakcyjny. Jeśli go kto jeszcze nie czytał – polecam gorąco. Znający tę powieść również powinni sobie ją odświeżyć ■



PRZEZ ROZLEWISKA CZASU

Rok 1920, za wyjątkiem obszaru Górnego Śląska, zamykał proces kształtowania się granic Polski po odzyskaniu przez nią niepodległości. Obok ziem, które II RP wywalczyła sobie na wschodzie, na złość np. Brytyjczykom, oraz przyznanych przez ambasadorów w trakcie konferencji pokojowej w Versalu – na niektórych spornych terenach (Śląsk, Prusy Wschodnie) przeprowadzano plebiscyty. W większości wypadków były one niekorzystne dla Polski, co jednak nie dziwi na terenach brutalnie germanizowanych za czasów zaborów, a wcześniej podlegających intensywnej niemieckiej akcji kolonizacyjnej; zwłaszcza że odbywały się one w chwili, kiedy Armia Czerwona stała u bram Warszawy. Były jednak miejsca, w których dochodziło do niespodziewanych rozstrzygnięć, a jednym z nich była tzw. Mała Polska, czyli znajdująca się po pruskiej stronie Wisły powiślańska wieś Janowo wraz z przyległościami (graniczyła ona od północy z Wolnym Miastem Gdańsk, a od wschodu i południa z Prusami Wschodnimi). Historia ta zainspirowała Konrada T. Lewandowskiego do napisania powieści *Narzęczona z Kociewia*. Zwracam na tę pozycję uwagę nie tylko dlatego, że jest związana z naszym regionem oraz została wydana przez gdyńskie wydawnictwo Ferratus, ale ponieważ na równych prawach występują w niej obok siebie wydarzenia rzeczywiste oraz nadprzyrodzone. Co prawda nie określiłbym jej tak jak autor: *powieścią fantasy* (chyba żeby rozciągnąć na ten genologiczny termin angielskie znaczenie tego słowa) – ale rozumiem, że z braku lepszego



pojęcia (to po prostu czysta fantastyka; można by od biedy posłużyć się jeszcze tracącą popularność nazwą *weird fantasy*, ale chyba nie tylko ja za nią nie przepadam; ewentualnie realizm magiczny – ale ten wydaje się być zarejestrowany dla literatury iberoamerykańskiej) – sięgnął po najpopularniejsze.

Scenę historycznych zdarzeń obok postaci autentycznych (m.in. głównego bohatera powieści Tadeusza Tollika, jego siostry i żony, księdza Ignacego Niklasa, komisarza Tadeusza Odrowskiego czy starosty gniewskiego Franciszka Czarnowskiego) oraz takich, które mogły wziąć udział w opisywanych wypadkach (np. dowódca Freikorpsu Rudolf Hoess, a także japoński dyplomata Marikadzu Ida), zapełniają w *Narzęczonej z Kociewia* także utopce i panny wodne, słowiańscy żercowie i kapłanki, a nade wszystkim bóstwa, którym oddawali oni cześć. Dodatkowo splata się tu ze sobą kilka planów czasowych (bo magiczne harce w XX wieku mogą mieć fatalne konsekwencje dla czasoprzestrzennego *continuum*, zwłaszcza dla losów bitwy pod Grunwaldem), całość zaś ubarwiają okultystyczne pojedynki (z udziałem Aleistera Crawleya i oddanych mu flagellantek) na oczach

niedowiarków i postaci z szerszymi światopoglądowymi horyzontami. Mamy więc do czynienia z prawdziwym kulturowym miszmaszem, w którym sprawa Polski okazuje się być przedmiotem gry nie tylko realnej polityki, ale i sił nadprzyrodzonych – o zgrozo! niechrześcijańskiej proveniencji. Trzeba też wreszcie powiedzieć, że całość została przez

Przewodasa bardzo zgrabnie odrobiona – i to nie tylko w warstwie literackiej, ale również w zakresie historycznych szczegółów (opowieść rozpoczyna się w czasach zmagania Pomorza z Prusami i ekspansji Krzyżaków na Pomorze; pojawiają się także wątki antykrzyżackiego powstania Stanów Pruskich i wojny trzynastoletniej, a całość kończy się w roku powrotu Polski nad Bałtyk), jak i składników życia społecznego (np. rytuałów związanych ze swataniem czy kultywowanie pewnych pogańskich przesądów nawet w XX wieku). Z tej pobieżnej charakterystyki widać wyraźnie, że o Polsce i Polakach można mówić bez osłabiającej, zwłaszcza najmłodsze pokolenia, martyrologii (warto zauważyć, że w wybranych przez narratorkę epokach laliśmy Niemców aż miło), a w dodatku bez chrześcijańskiej egzaltacji (a nawet przeciw niej). Ciekawe tylko, czy tak przekazana lekcja narodowej dumy dotrze do młodzieżowego czytelnika i zechce on się w ogóle z nią zapoznać. Koniecznie więc trzeba dodać, że – ponieważ w fabule pojawia się okultyzm i magia – występują także „momenty”, no ale po Lewandowskim można się było tego spodziewać.

Nie pierwszy to raz, gdy w tekstach współczesnej kultury popularnej do spraw Polski mieszają się siły nadprzyrodzone. Okultystyczne zmagania miały miejsce chociażby w filmowej *Hiszpance* Łukasza Barczyka czy w *Burzy* nieodżałowanego Maćka Parowskiego. Nadnaturalną interwencję w nasze dzieje obserwowaliśmy także w *Widmach* Łukasza Orbitowskiego. Osobną kategorią jest w tym segmencie twórczość Radka Raka, ale nawet jeśli siły nadprzyrodzone polują w niej na pojedyncze duszyczki, to nie pozostaje to bez wpływu na wydarzenia historyczne. Jednak u Lewandowskiego mamy do czynienia z konsekwentną kreacją świata, w którym oba wymiary rzeczywistości (realny i nadludzki)

istnieją równolegle i mogą się przenikać – wystarczy znać odpowiednie zaklęcia, odprawić właściwe rytuały i już można mieć na swoje usługi demony, czy skontaktować się z prasłowiańskimi (a także japońskimi) bóstwami, a nawet ich u siebie gościć. (W jakiś sposób bliska jest zatem wizji z kaszubskiej epopei Aleksandra Majkowskiego *Życie i przygody Remusa*, w której główny bohater przeżywa swoją odyseję zarówno w świecie realnym, jak i w przestrzeni symbolicznej, zamieszkiwanej przez istoty rodem z kaszubskiego imaginarium). Co więcej: pogańskie moce istnieją sobie mimo chrześcijaństwa, a nawet jemu na pośmiewisko, bo choć zbawcza misja Chrystusa nie jest tu kwestionowana, to – żeby załatwić sobie przychylność natury – kociewiaci zwracają się do swych pradawnych świątków. Okazują się one po prostu bardziej skuteczne niż księga i modlitwy. Muszę przyznać, że znosiłem tę rodzimowierczą propagandę w czasie lektury z najwyższym trudem, ale finałową sceną wiecu pokoleń przekroczył Lewandowski wszelkie granice (choć trzeba przyznać, że sam pomysł spotkania wspólnoty żywych i umarłych poza czasem na wyspie leżącej w pobliżu miejscowości o słowiańskiej nazwie Swarżyn jest pierwsza klasa). Oto sąd nad opętanym przez Crawleya utopcem, który wcześniej nie otrzymał rozgrzeszenia za zabójstwo swojej siostry pod dosyć zresztą wydumany pretekst (znaczący, że Autor nigdy się nie spowiadał), sprawuje Swaróg, któremu kłaniają się nie tylko pogańscy przodkowie Tollików, ale i XX-wieczne małżeństwo protagonistów. Tenże Swaróg, z jakichś powodów, ma moc decydowania o pośmiertnych losach nawet ochrzczonych mieszkańców Kociewia, a także odsyłania ich na łono Chrystusa. Równie niemożliwej do zaakceptowania z chrześcijańskiego punktu widzenia herezji nie czytałem od czasów *Samotności bogów*

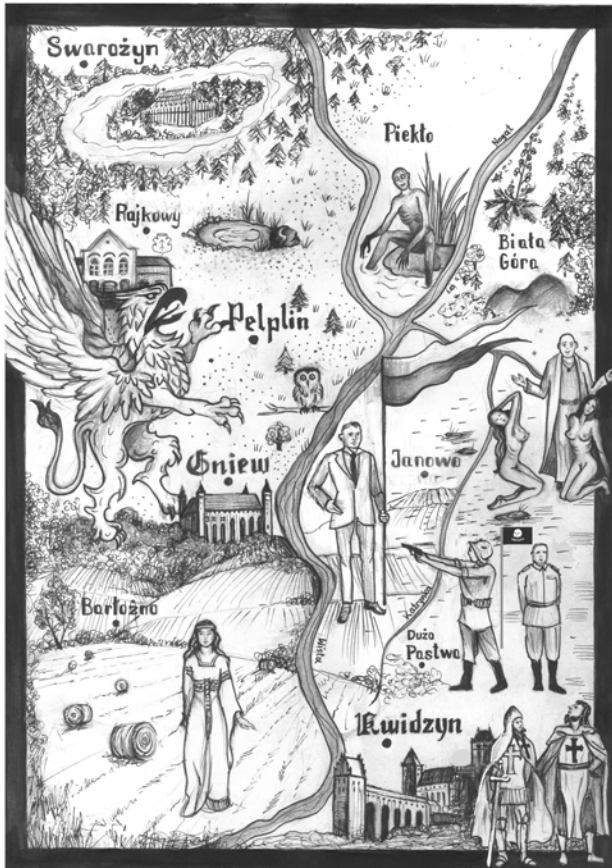
Doroty Terakowskiej. Bo choć Aleksander Ford w swojej adaptacji *Krzyżaków* kazał się polskim rycerzom po pobudce klaniać słońcu (u Sienkiewicza tej sceny nie znalazłem), to trudno znaleźć dowody na to, by po XI–XII wieku istniały u nas jakieś silne ośrodki rodzimowiercze (pomijam tu Prusów, którzy byli ludem bałtyckim), a słowiańskie wierzenia nie miały jedynie charakteru przesądów (choć i współcześnie można ponoć spotkać babki, które i chorobę potrafią zamówić, i ziółkami leczyć, a jak kto się nie spodoba, to i przykrość jakąś sprawić – ich ucieleśnieniem jest jedna z fajniejszych postaci w serialu *Ranczo*).

Gdyby nie przedstawione powyżej wątpliwości, polecałbym tę powieść z czystym sumieniem, a tak muszę przestrzec przed

zuchwałym bluźnierstwem zwłaszcza tych, których wiara nie jest zbyt silnie ugruntowana. Zbawienie duszy i ciała, które w wypadku jednej z drugoplanowych postaci też się na jej kartach dokonuje, jest wartością znacznie cenniejszą niż obiecywane przez Swaroga powtórne wcielenie czy odesłanie do Nawi, czymkolwiek ta zaświatowa kraina jest. Natomiast na pewno warto się z *Narzęconą z Kociewia* zapoznać; choćby po to, by się przekonać, jak zbawienny wpływ na małe dziewczynki może mieć lektura *W pustyni i w puszczy*. Jeśli miłośnikom najnowszej lewicy skakał będzie przy tej okazji gul – najbardziej chciałbym to zobaczyć ■

Wasz wielkokacki korespondent

rys. Dorota Klapkowska



KAROL GINTER

PIERŚCIEN ZRZUCONY DO ZSYPU

Larry Niven

Dzieci Pierścienia

Wokół Pierścienia zgromadziły się statki kosmiczne kilku ras. Wszystkich interesują technologie, których użyto podczas jego budowy. Jednak nie jest łatwo pokonać systemy ochronne Pierścienia.

Luis Wu bardzo odmłodził. Niestety, znowu znalazł się pod kontrolą protektora. Tym razem jest to Grajek wywodzący się z Ludu Nocy. Obawia się on zagrożenia ze strony ras, których statki krążą wokół. Tym bardziej, że zaczynają wykorzystywać antymaterię. A takiego zagrożenia systemy ochronne nie są w stanie zneutralizować. Grajek tworzy więc zespół, który ma go wesprzeć podczas obrony Pierścienia.

Tym razem autor skonstruował jakąś fa-bułę. Niestety, po lekturze *Tronu Pierścienia*,

dokończenie ze s. 39

i czemu ta bomba właściwie wybucha? Cemu Randall – bo tak można to zrozumieć – roz-wala całe to towarzystwo i robi wielkie „bum” po całości?

Ale wiecie co – sprawdziłem w książce te ostatnie 40 stron i, kurczę, tam jest co praw-da coś, co nazywa się Ręką Boga, lecz reszta brzmi niestety jeszcze gorzej.

Trzeba jasno sobie powiedzieć, że złe za-kończenie to zarówno wynik pracy scenar-zystów, jak też, niestety, autora – który po prostu je spartaczył.

pozostała mi silna trauma, która rzutowała na odbiór również tego tomu. Gdyby nie fakt, że kupiłem go wcześniej, nigdy bym po niego nie sięgnął. Chciałem tylko zrobić porządek na półce. Przeczytałem z obowiązku.

Nie jestem już w stanie na serio traktować pomysłów o protektorach. Mógłbym poświęcić kolejne akapity na deprecjo-nowanie tej koncepcji i obnażanie jej głupoty – lecz nie widzę w tym sensu. Skończyłem z cyklem. Pozbędę się tych książek, bo nigdy więcej do nich nie sięgnę. Owszem – *Dzieci Pierścienia* są znośne; ale szkody wyrządzone przez *Tron Pierścienia* są nieodwracalne ■

www.karolginter.pl

/tytuł od redakcji INFO/



Na koniec może tak: jeśli nie czytałeś powie-ści – serialu nie oglądaj; lepiej obejrzyj wersję z 1994 roku, a najlepiej przeczytaj książkę, bo 90% z niej to czysta przyjemność i jakoś prze-gryziesz się przez marne zakończenie.

Jeśli powieść czytałeś – też lepiej nie oglą-daj, bo się tylko zdenerwujesz i zniechęcis; wróć do serialu z 1994 roku.

Ja w każdym razie ostrzegąłem!

Na szczęście jak na razie żadna telewizja w Polsce ani żaden legalnie tu istniejący kanał streamingowy nie zrobił psikusia i nie udostęp-nił tej nowej adaptacji w swojej ofercie – i to jest pozytywna informacja ■





ARTUR ŁUKASIEWICZ

STRZEŻCIE SIĘ GNIEWU SPOKOJNYCH LUDZI!

Zacznę nietypowo, bo nieco zniekształconym przez Kinga cytatem pewnej amerykańskiej piosenki.

*Jedno każdy wie, że nie wybaczą jej (*póki nie przyzna na koniec), że jest taka sama jak oni.*

Bo w gruncie rzeczy, poza całą pełną grozy otoczką, to właśnie o rozpaczliwej chęci bycia akceptowanym przez otoczenie jest to powieść – i właśnie to chce nam w filmie przekazać Brian De Palma.

Ale nie zaczynamy od końca.

King miał pecha. Jego książki najpierw długo nie mogły się przebić przez wydawnicze sito, gdy zaś to się w końcu udało – nie cieszyły się zbyt dużą popularnością. Ani *Carrie*, ani następna powieść *Miasteczko Salem*, nie szły tak dobrze, jak się tego spodziewano. Wydawca zredukował nawet wydawnicze plany *Łśnienia* o połowę, dochodząc pewnie do przekonania, że oto nie trafi wcale na żyłę złota, a jedynie na zwierznię kapiszon (zamiast literackiego fajerwerku). Można by nawet zaryzykować przypuszczenie, iż uznał, że ten King nie umie wcale pisać – i pewnie należałoby mu podziękować.

Wtedy pojawił się Brian De Palma. Dzięki rekomendacji kolegi pisarza przeczytał on *Carrie* i zaproponował agentowi Kinga 2500 dolarów za prawa do sfilmowania powieści. King nie miał za bardzo co wybrzydzać; mając i tak sporo wydatków – zgodził się.

I tak oto powstał film niezwykły. Nieprzerazający krwawy horror. Jeden z najlepszych horrorów wszech czasów. A co tam, napiszę to... lepszy niż Kubrickowskie *Łśnienie*.

Jedna rzecz jest w tym filmie zarazem dobra i fatalna. Obsada aktorska. To znaczy – nie mam nic do samych aktorów, którzy swoją robotę wykonali doskonale. A dla dwojga z nich (Sissy Spacek i Johna Travolty) ten film był początkiem wielkich filmowych karier. Razi mnie jednak to, że siedemnastolatków grają aktorzy prawie trzydziestoletni. Ciekawostką może być to, że nauczycielkę WF, panią Collins, zagrała aktorka Betty Buckley – rocznik 1947 (która była zaledwie dwa lata starsza od swej filmowej uczennicy Sissy Spacek – rocznik 1949). W chwili realizacji filmu miały więc odpowiednio 25 i 27 lat. I to na ekranie widać. Niektórzy maturzyści, szczególnie ci z dalszego planu, mają już bujny zarost, wydatne, dorosłe rysy twarzy, a nawet początki łysiny!

Niestety, to były takie czasy. Dziś raczej się takich absurdów już nie robi. Chociaż zdarzają się wyjątki.

Ale wróćmy do tematu.

Carrie to, to mogłoby się wydawać, w osiemdziesięciu procentach typowy *teen movie*. Brzydkie kaczątko, posiadające zdolności do telekinezy, które objawiają się



Sissy Spacek i Brian De Palma na planie *Carrie*

w momencie silnego wzburzenia, stłamszone przez rozfanatyzowaną religijnie matkę (w tej roli doskonała i przerażająca Piper Laurie), uważającą swą córkę za owoc grzechu – i obwiniającą swe dziecko o całe zło, jakie ją spotkało.

W dodatku Carrie, prześladowana przez rówieśnice w szkole, zostaje pobita i obrzucona podpaskami/tamponami podczas kąpieli po zajęciach WF, gdyż podczas owej kąpieli dostaje swojego pierwszego okresu (w dodatku nie ma pojęcia, co się z nią dzieje). Za karę dziewczęta stają przed alternatywą: albo zostaną zawieszane na trzy dni w prawach ucznia i nie pójdą na bal maturalny, albo przez tydzień, pod okiem pani Collins, będą przez godzinę ćwiczyć na szkolnym boisku.

Jedynie Chriss (Nancy Allen) jawnie przeciwstawia się nauczycielce. Z kolei Sue (Amy Irving), jedną z uczestniczących w ataku na Carrie dziewczyn, rusza sumienia i namawia ona swego chłopaka Tommy'ego, by zaprosił Carrie na bal maturalny. Kiedy dowiaduje się o tym Chriss – knuje swoją okropną zemstę.

Carrie ma wątpliwości, ale ponieważ bardzo „chce być taka sama jak oni” – w końcu się zgadza. Książę z bajki się zjawia, w Carrie narasta bunt, wbrew woli matki idzie na bal.

Do tej pory nic strasznego, prawda?

Do czasu.

Bo za chwilę rozpęta się piekło. Istny gore, krew, śmierć i ogień, a w końcu ukrzyżowanie. Zwolennicy horroru otrzymają swoją mocno wyczekiwaną daninę.

I jeszcze ta ręka...

I wszystko tylko dlatego, że ktoś bardzo chce być taki jak inni. Że rozpaczliwie potrzebuje akceptacji, a gdy ta nie nadchodzi – odpłaca się szaloną zemstą.

Mimo że przez osiemdziesiąt procent filmu nic się horrorowego właściwie nie dzieje – ogląda się ten film znakomicie. Tu nie ma słabych scenariuszowych miejsc. Ani jednej zbędnej filmowej sekundy. A kiedy już zrozumiemy, co się wydarzy – końcowa orgia przemocy jest niczym *katharsis*. De Palma powyrzucał wszelkie wtręty, niepotrzebne komentarze, którymi opatrzona jest powieść. Tylko z racji małego budżetu nie pokazał, jak płonie całe miasto – a chciał to zrobić.

Po prostu trzeba ten film zobaczyć. Wstyd nie znać ■

PS. A dzięki tej książce zakochałem się w piosenkach Dylana.

/tytuł od redakcji INFO/



Kadr z *Carrie*; reż. Brian De Palama, USA 1976

Kadr z *Carrie*; reż. Brian De Palama, USA 1976

NIEMAL TRADYCYJNE PS OD REDNACZA

Ponieważ Bazyl wyznał ongiś, że lubi peesy rednacza do „myszek” – pozwolę sobie na garść dziaderskich wspomnień...

Twórczość Stephen Kinga była u nas praktycznie nieznaną przez prawie cały okres PRL-u. Po raz pierwszy usłyszałem o Mistrzu, podczas którego z sobieszewskich Nordconów, od Krzysztofa Sokołowskiego. Krzysiek wyznał też, że po raz pierwszy i jedyny w życiu wrzasnął wtedy w londyńskim kinie na cały głos (scena z ręką w finale *Carrie*!) – ale nie narobił sobie obciachu, gdyż unisono zawrzasła większość widzowie; później napisał też o tym w „Fantastyce” (notabene to ten miesięcznik literacki pod koniec real socjalizmu opublikował – jako egzotyczny rarytas – krótką nowelkę Kinga).

Filmowa *Carrie* nie trafiła u nas do kin; swą premierę miała w TVP niewiele po upadku komuny. Chociaż wiedziałem o scenie z ręką – jest ona tak dobrze zrobiona, że mimo to podskoczyłem w fotelu!

Rzeczony film obejrzałem w sobotni wieczór jeszcze w czarno-białym telewizorze.

Ból był o tyle większy, że kupiłem już dolary (kantory wtedy raczkowały), za które po weekendzie zaplanowałem kupić w Baltonie kolorowy telewizor (tylko tam i w Pewexie można było nabyć porządny odbiornik, a nie ruski badziew z kineskopem delta i dominującą jedną barwą – fioletową albo zieloną! – przekłamującą cały obraz). Tydzień później oglądałbym ten film w pięknych kolorach japońskiego Otake...

À propos „o take”: expose premiera Mazowieckiego pamiętam czarno-białe, expose premiera Bieleckiego – już w kolorze.

À propos sowieckiej produkcji cywilnej: Alosza Awdiejew często przytacza ówczesny dowcip krążący po Krakowie. Z wulgaryzmem – ale to akurat koresponduje ze wstępniakiem... „Co to jest: nie świeci i nie mieści się w dupie? Radzieckie urządzenie do świecenia w dupie!”

jpp

ARTUR ŁUKASIEWICZ

OSTRZEŻENIE NAWIGACYJNE –

CZYLI: KAŻDY MA TAKĄ APOKALIPSE,
NA JAKĄ SOBIE ZASŁUŻYŁ

Mówiąc szczerze – dowiedziawszy się, że telewizja CBS zrealizowała remake serialu *Stand* na podstawie powieści Stephena Kinga o tym samym tytule z 1994 roku – mocno się zdziwiłem.

Dość dobrze pamiętałem tamtą wersję i naprawdę uważałem ją za niezłą. Choć dziś trochę straszny jakością efektów specjalnych, jednak wciąż czuje się pewną moc naciągającej apokalipsy. Problem w tym, że – mimo długich czterech odcinków i sześciu godzin materiału – miałem odczucie, że tylko liznęliśmy temat z całości tej powieści. Pewne wątki czy postacie ledwie tylko nam zarysowano.

Miałem więc nadzieję, że w dziewięć godzin da się tę wiedzę poszerzyć. Ale potem tak dokładnie zliczyłem tych osiem odcinków po troszkę ponad 40 minut... Osiem, bo odcinek dziewiąty jest odcinkiem bonusem (dopisanym przez Kinga na życzenie państwa Producentstwa) – i jest trochę taką jakby opowieścią o czymś innym; gdzieś tak mi się nawet kołatce w głowie, że podobny motyw był w jakimś opowiadaniu, które mistrz kiedyś napisał. Kiedy więc to razem zsumowałem – to się okazało, że lipa: czasu jest nawet mniej. Ale nic, może nasi kochani to jakoś świetnie zrobią, łącząc dodadzą – i wyjdzie fajnie...

No i wspaniale, że macie właśnie mnie. Bo ja to obejrzałem. W okularach i bez. Normalnie i w szybkim przewijaniu. I nadal nie mogę uwierzyć.

Lata temu w „Informatorku” nieodżałowanej pamięci Krzysztof Papierkowski miał

zwyczaj co jakiś czas wrzucać tak zwane Ostrzeżenia Nawigacyjne. Były to wyraźne i walące prosto z mostu ostrzeżenia, co autor sądzi o paździerzku, z którym się nieopatrznie zetknął.

Czas chyba wrócić do tej tradycji!

Wymienianie tutaj wszystkich błędów tej niechlujnej narracji, redukcji postaci do faktycznego zera, kompletnej niezrozumiałej motywacji, aż do konsekwentnie głupiego finału (choćby zgodnego z pierwowzorem książkowym) zajęłoby cały marcowy numer. Zresztą do samej końcówki nic nie mam, ale w gruncie rzeczy jest ona tylko jakimś nieistotnym spin-offem całej historii i nic istotnego do samej opowieści nie wnosi.

To jednak nie jest tak, iż nagle poczułem się Miłosiernym Samarytaninem i postanowiłem nie kopać leżącego, choć mu się naprawdę należy. Jest tego po prostu tak dużo, że nie wiem, czy mi się chce.

No, dobra: ponarzekałem – ale samo się nie zrobi; dlatego czas zabrać się – jak to się na moim studium scenariuszowym kiedyś mówiło po przeczytaniu kolejnego wiekopomnego dzieła jednego ze współkursantów – „za chlastanie”.

Zacznijmy od pierwszego i zarazem największego błędu tego serialu, czyli jego niezrozumiałej nieliniowości.

Atutem powieści Kinga jest to, że precyzyjnie – dzień po dniu, godzina po godzinie – pokazuje nam upadek i zagładę. Ot, z jednego

THE STAND



Whoopi Goldberg

z laboratoriów wojskowych wydostaje się wyjątkowo zjadliwa odmiana grypy. Jesteśmy gdzieś na bezludnym zadupiu. Wydaje się więc, że wszystko szybko i łatwo da się opanować, gdyby nie jeden żołnierz. Świat stopniowo ogarnia globalna śmiertelna pandemia, ale są od tego wyjątki. Temat dziś wydaje się być wyjątkowo na czasie. Tysiąc trzysta stron tej grubaśnej powieści wypełnia King opisem tego upadku. I robi to po mistrzowsku, zaskakuje, pokazuje niejako w czasie rzeczywistym, jak poszczególni bohaterowie/antybohaterowie naszej historii (ci, którzy tajemniczym zrzędzeniem losu przetrwali zagładę) przechodzą przemianę; szybko bowiem okazuje się, że mogą oni wybrać, czy chcą być „dobrzy”. Próbować odbudować społeczeństwo i znaleźć się w grupie pod przewodnictwem Matki Abigail (Whoopi Goldberg) – albo przejść na stronę tych, którzy chcą swoje ostatnie dni przebalować i wspomóc zło, a na których czele stoi tajemniczy i diabelski Randall Flagg (Aleksander Skarsgård). Oczywiście, musi dojść do ostatecznej konfrontacji obu sił i kulminacyjnego rozwiązania. Ot, taka biblijna Apokalipsa w miniaturze. Po amerykańsku przerysowana, ale możemy przyjąć taką konwencję (o ile sama książka Cię nie odrzuci swą grubością czy nieco zamerykanizowaną perspektywą). Siedziba ludzkiego piekła to Las

Vegas? Naprawdę? To kupi Cię bez reszty! No, może do pewnego momentu, który niestety znajduje się na jej końcu i który moim zdaniem Kingowi nie wyszedł.

Ale wróćmy do fabuły.

Podążamy za bohaterami, idziemy ich śladami, kibicujemy, by dotarli do miejsca przeznaczenia – a wciąż nie jesteśmy pewni, czy im się uda. I to jest wielki atut tej książki. Podobnie skonstruowano też serial z 1994 roku.

A spójrzmy, jak sobie z tym radzi nasz współczesny serial.

Zaczynamy wątkiem zakompleksionego młodego chłopaka i nieco starszej od niego dziewczyny – Harolda (Owen Teague) i Frannie (Odessa Young). Ci, którzy nie znają książki, mogą spodziewać się, że coś między nimi zaiskrzy albo nie. Co z tego, skoro parę minut po ich poznaniu – przesuwamy się do przodu o kilka miesięcy i widzimy Franie w ciąży, na dodatek z zupełnie innym mężczyzną! A potem, jak gdyby nigdy nic, wracamy do przeszłości... Jeden z największych zaskoków zdradzony, ot tak, bez powodu.

Wszelkie późniejsze próby zbudowania jakichś bardziej czy mniej przyjaznych relacji między nimi już nas właściwie nie interesują, gdyż WIEMY, ŻE NIC Z TEGO NIE BĘDZIE. A w dodatku cały czas czekamy na choćby

początek romansu zwieńczonego ciążą. Ale się nie doczekamy. Bo go po prostu nie ma. Wiemy, co prawda, jak Harold rozstaje się z Fran oraz co powoduje w nim nienawiść i przejście na ciemną stronę – lecz za cholerę nie dowiemy się, cóż takiego się stało, że wylądowała ona w ramionach Stu (James Marsden)!

I tak jest właściwie ze wszystkimi tajemnicami, które powinniśmy z zaskoczeniem odkrywać: tu dostajemy niejako od razu, przez co od razu też napięcie siada – i tracimy całą przyjemność.

Tak jest właściwie ze wszystkim. Zniszczona zostaje mocno postać Nadine (Amber Heard), która kompletnie nie ma w serialu nic do roboty – poza tym, by mógł ją w końcu „posiąść” Randall; i właściwie nie wiadomo, dlaczego (w książce możemy przynajmniej prześledzić proces jej kuszenia, tutaj ograniczamy się do chyba jednej sceny – a Nadine jest już oddana i gotowa zrobić dla niego wszystko). Kiedy przychodzi ciąża i rozczarowanie – ot, po prostu wyskakuje przez okno. I tyle. Randall nawet rozpacza strasznie – no,

przez jakieś dwadzieścia sekund – po czym (nic się przecież ważnego nie stało) zajmuje się swoimi sprawami. Ale ten wątek omówię za chwilę. Nie jest to bowiem wina scenarzyistów; oni i tak z końcowego rozwiązania wyciągnęli, co tylko mogli i naprostowali z głupotek, jakie popełnił sam autor, kompletnie ruinując zakończenie sens powieści.

Gdybym był złośliwy, mógłbym zasugerować, że twórcy postanowili pobawić się nieliniowością, dlatego że Marsden sobie tego zażyczył. Ale to taki mały dowcip z mojej strony, który w lot złapia ci, którzy oglądali *Westworld*.

W serialu, inaczej niż w powieści, Larry Underwood (Jovan Adepo) jest czarnoskórym mężczyzną (ale przyjmijmy, że tak ma być w imię bożka „poprawności politycznej”) i ma problem z narkotykami. Tak duży, jak pełna jest ich torba zajmowana choremu dealerowi i z której hojnie sobie dawkuje przez kilkanaście minut odcinka (o ile sobie dobrze przypominam – to problem z uzależnieniem miała Nadine, a nie Larry; choć przyznam, że samej

Jovan Adepo i James Marsden w serialu *The Stand*;
fot. Robert Falconer, CBS



książki już bardzo dawno nie czytałem, może czas do niej wrócić?).

Zresztą mieszanie płci i kolorów skóry jest tutaj nagminne. W dodatku pełno też tutaj niewystępujących w powieści postaci, które jedynie zaśmiecają swą obecnością ekran. Zmieniono wiele całkiem logicznych wątków powieściowych na rzecz efekciarskiego szarżowania. Najlepszym przykładem jest odbywający się „sąd” nad trójką emisariuszy Abigail, którzy przyszli, by pokonać zło. W książce ten wątek rozwiązano zupełnie inaczej i rozsądniej – ale przecież potrzebny jest show, prawda?

Wróćmy jednak do Larry’ego.

No to jest narkomanem, no i? Oczywiście szybko o tym zapominamy, skacząc do przodu i do tyłu w historii. Ani razu nie czuje głodu, ani razu później nie ma pokusy? Otóż nie. Nałóg znika tak szybko, jak się pojawił. Był tu jakiś narkoman? Ależ skąd! Teraz to prawy i godny zaufania obywatel.

Matka Abigail jest nawet znośna, ale umówmy się: nie ma tutaj zbyt wiele do zagrania. Musi powitać bohaterów, zniknąć na jakiś czas, wygłosić końcową przedśmiertną mowę – i tyle. A, odgrywa też pewną rolę w ostatnim odcinku! Można odbębnić swoje i iść do kasy.

Randall zaś jest po prostu taki, jaki powinien być. Złowieszczy, groźny i nieprzewidywalny. Choć scenariusz nie daje mu okazać pełni swoich możliwości. Do samego końca robi jednak, co może.

Straszne mi żal kluczowej postaci fabuły – Śmiecia (Ezra Miller). W serialu z 1994 roku w takich pozorowanych retrospekcjach dowiadujemy się, kim jest i jak jest postrzegany. W powieści jest psychopatą ogarniętym piranią. Ale mimo wszystko działa w sposób zaplanowany i wykazuje się pewną inteligencją, krzyżując nawet plany Randallowi. Jest czymś w rodzaju elementu chaosu w złym świecie

Randalla. Staje się dla niego zagrożeniem. I tenże Śmieć jedzie do bazy wojskowej, udaje mu się zdemontować głowicę jądrową i przyjechać z nią do Vegas.

A co zostało ze Śmiecia w remake’u? Głupio napisać, ale krzyżący psychopata-debil niepotrafiący sklecić trzech w miarę logicznych zdań. Kiedy się pojawia – robi wielkie „bum”, wysadzając pewien obiekt przemysłowy. Potem spotyka się na chwilę z Randallelem, potrafiąc jedynie wydukać jedno zdanie przy akompaniamencie porykiwań i pisków. Randall prowadzi z nim rozmowę, enigmatycznie napomykając o Wielkim Ogniu – i Śmieć znika. Widzimy go później, jak z bazy wojskowej wyciąga atomową głowicę. Potem na dłuższy czas nic o nim nie wiemy. W końcu pojawia się w kluczowym momencie. Zamiast jednak jechać do bazy lotniczej i zainstalować głowicę w czekających samolotach – jak głosi Randall całemu oglądającemu to w Vegas na wielkich telebimach zbiorowisku ludzi (na Boga, kiedy zdążyli to ze Śmieciem ustalić, gdzie on ma z tą głowicą jechać?) – nagle skręca i zjawia się w samym środku końcowej zawieruchy i ostatecznej konfrontacji, podczas której ci, którzy tak wiernie stali za Randallelem, nieoczekiwanie okazują się (nazwijmy to eufemistycznie) „krytyczni” i pełni buntu. Ba, nawet ośmielają się Randallowi przeciwstawić!

I tu zdziwiony Randall widzi Śmiecia z głowicą. Wysyła promienistą kulę, która ma go zabić; ale nagle całe Vegas ogarnia purpurowo-siwa chmura prosto z nieba, zaś kula – zamiast zniszczyć Śmiecia – rośnie, zaczyna rzucać błyskawice w różne strony, zabijając ludzi. Najpierw tych arcyzłych, potem wszystkich, a na końcu samego Randalla – i na samiućkim końcu bombę. Ni cholipci nie wiem, co to za dym, czemu piorun wali we wszystkich



ANDRZEJ PRÓSZYŃSKI

KOSZMARNY BOBAS

Przyszukując ostatnio moją Stertę DVD (zawierającą to wszystko, co nie zmieściło się na Półce), odkryłem zapomniany i do tej pory nieobejrzany krążek pod nieomal bondowskim tytułem *Śmierć nadejdzie dziś*. Powiem więcej: udało mi się przegapić także jego kontynuację nakręconą i wydaną na DVD w 2019 roku. Pierwszą zaległość już nadrobiłem, z czego zdam sprawę poniżej; ale na upamiętnienie się z drugą będę musiał jeszcze trochę poczekać.

Jest rano 18-tego – zupełnie jak dziś, kiedy piszę te słowa – tyle że w filmie jest to poniedziałek. Studentka koledżu Tree Gelbman nieźle zabalowała poprzedniego dnia, więc z pewnym umiarkowanym zdziwieniem odkrywa, że obudziła się w nie swoim pokoju, u chłopaka, którego ledwie kojarzy. W dodatku ma urodziny, co sygnalizuje jej natrętnie telefon. Tree zupełnie nie ma zdrowia do tego wszystkiego, chce więc jak najszybciej odbębnić ten dzień. No i prawie jej się to udaje, ale pod wieczór

napada na nią osobnik w masce przerośniętego bobasa, typowej dla tego kampusu, lecz z raczej nietypowym zamiarem odebrania jej życia. A gdy niemal je odbierze – dziewczyna budzi się w nie swoim pokoju i zaczyna się poniedziałek 18-go, dzień jej urodzin...

Skojarzenie z *Dniem Świstaka* jest natychmiastowe i twórcy filmu wcale tego nie starają się zamaskować. Wręcz przeciwnie: ów chłopak, Carter Davis, u którego budzi się Tree każdego kolejnego dnia swoich urodzin, wymienia ten tytuł od razu, kiedy już wreszcie dochodzi do niego, w czym rzecz. Okazuje się natomiast, że dziewczyna nigdy o nim nie słyszała, co nie powinno specjalnie dziwić, skoro nie kojarzy też, kim była Janis Joplin (to akurat z aluzji Cartera do stanu Tree w przeddzień urodzin).

Natomiast kobieca intuicja podpowiada dziewczynie bezbłędnie, co ma zrobić, by uwolnić się z pętli: zdemaskować zabójcę i powstrzymać go, a jeszcze lepiej fizycznie

Kadr z filmu *Śmierć nadejdzie dziś*



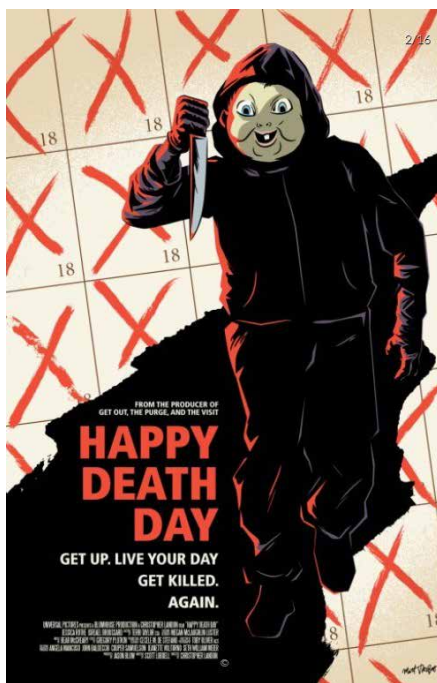
wyeliminować. Pierwszym krokiem jest oczywiście sporządzenie listy podejrzanych, ta zaś nieoczekiwanie okazuje się dość długa: koleżanki, którym odebrała chłopaków, chłopaki, którym dała kosza – i tak dalej w tym stylu. Jest też jeden autentyczny seryjny morderca młodych kobiet, wprawdzie przebywający pod strażą w szpitalu na kampusie; telewizja jednak donosi, że właśnie uciekł.

Oczywiście nie zdradzę, kto poluje na naszą bohaterkę. Wspomnę tylko, że nie jest to do końca jasne, ponieważ na krążku jest też alternatywne zakończenie...

W przeciwieństwie do *Dnia Świstaka* omawiany film to nie tylko komedia, ale też jednocześnie horror. Jest więc w nim *i śmieszno i straszno* – na przemian. Przy tym nie jest bynajmniej nudno, albowiem powtarzalność sytuacji odgrywa jedynie rolę tła dla inwencji wykazywanej przez Tree, która twórczo ową przewidywalność wykorzystuje. Co się przekłada, niestety, jedynie na rozmaite warianty śmiertelnego finału.

W trakcie tych zmagania nasza bohaterka zaczyna z coraz większą nonszalancją podchodzić do kwestii omc (= o mało co) umierania, a także coraz bardziej doceniać Cartera, gdyż

ten pomaga jej z dużym zaangażowaniem. Spogląda też krytycznie na swoje dotychczasowe życie – i nie tylko postanawia się zmienić, ale też stawia pierwsze kroki na tej drodze. Jest





to więc również opowieść o dorastaniu, jak na przyzwoitą młodzieżówkę przystało.

Film ogląda się bardzo dobrze, zwłaszcza z powodu świetnie dobranej obsady pary głównych bohaterów. Ale nie tylko. Obserwacje obyczajowe są całkiem trafne i zabawne, zaś sceny śmiertelnych zmaganiń efektowne i oryginalne, zwłaszcza te z komediowymi wstawkami. Mam nadzieję, że część druga, kiedy ją wreszcie obejrzę, okaże się równie fajna jak pierwsza ■

Śmierć nadejdzie dziś (*Happy Death Day*),

USA 2017

ocena FilmWeb: 6,3, IMDb: 6,6

reżyseria: Christopher Landon

scenariusz: Scott Lobdell

gatunek: horror, komedia

czas: 1 godz. 32 min.

Obsada:

Jessica Rothe (Tree Gelbman, ocena 8,31)

Israel Broussard (Carter Davis, ocena 7,6)

Ruby Modine (Lori Spengler, współlokatorka Tree)

Phi Vu (Ryan Phan, współlokator Cartera)

Charles Aitken (Gregory Butler, wykładowca)

Laura Clifton (Stephanie Butler, jego żona)

Jason Bayle (David Gelbman, ojciec Tree)

Rachel Matthews (Danielle Bouseman, jej koleżanka)

Cariella Smith (Becky Shepard, „ta gruba”)

Tenea Intriago (protestująca studentka)

Rob Mello (John Tombs, seryjny morderca)

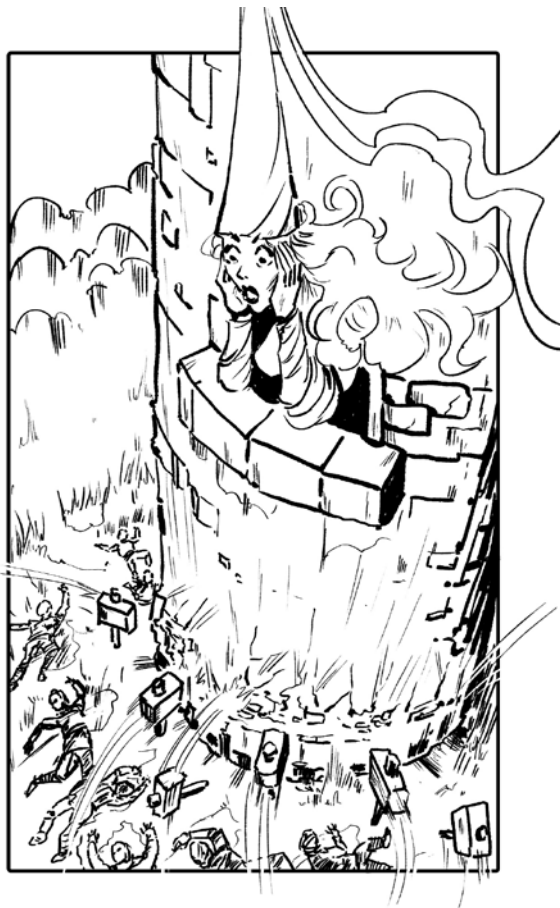
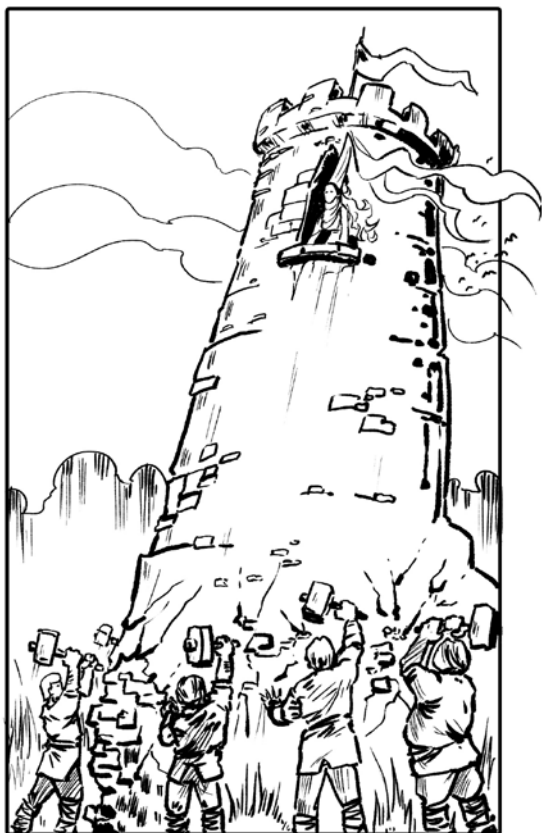


Kadr z filmu *Śmierć nadejdzie dziś*

Dwunastu braci sen

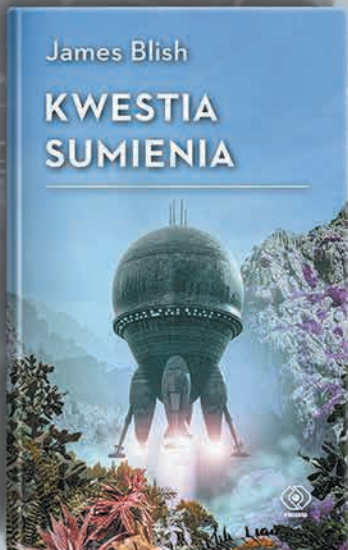
Rys. Adam Mateja

Scen. i text Grzegorz Szczepaniak



Śni się sen Dwunastu Braciom
Złoty o Dziewczynie
I nie kończy się choć zaczął
W poprzek i wspank płynie

Na nic ramion sprzęg i usił
Na nic pot na twarzy
Sen ich dusi tak jak dusił
Za czym bęło marzęc?

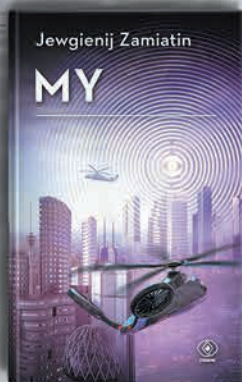


**Klasykzna powieść
science fiction
wyróżniona nagrodą Hugo.**



**Najsłynniejsza powieść
o skutkach globalnej
wojny nuklearnej.**

POLECAMY RÓWNIEŻ:



znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja